Nr. 31. Poznań, niedziela 2-go sierpnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań. św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4.00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Wolne małżeństwa.

Kwestya niemiecka zawierania małżeństw, pochodząca jeszcze z czasów walki kulturnej (Kulturkampf) Bismarka, weszła obecnie znowu na porządek dzienny. Powodem tego ożywienia sporu, tyczącego się większej lub mniejszej wagi ślubów kościelnych a cywilnych, jest rozprawa wytoczona w parlamencie rzeszy niemieckiej nad nowym kodeksem cywilnym. Pytanie brzmi: które małżeństwo ma być odtąd prawnem, — kościelne czy cywilne? Centrum i partya konserwatywna żądają koniecznie zmiany dotychczasowej ustawy, — wszystkie partye liberalne były przeciw zmianie, a rządy państw Rzeszy oświadczyły również stanowczą chęć wytrwania przy małżeństwie cywilnem. Ostatecznie zwolennicy małżeństw kościelnych, centrum i zachowawcze stronnictwa, zdecydowali się ustąpić pod presyą życzeń rządowych, do których dołączono niedwuznaczną pogróżkę, że wielkie dzieło narodowe: jednolity kodeks cywilny dla całej Rzeszy niemieckiej, gotów się rozbić zupełnie, gdyby większość parlamentu oświadczyła się przeciw ustawie o obowiezujących ślubach cywilnych. Zważywszy polityczne stosunki niemieckie trzeba przyznać, że rezultat taki, użyty jako straszak na centrum i zachowawców, w skutkach swoich nie byłby pod żadnym warunkiem ujemny. Rzesza niemiecka składa się bowiem z panstw i państewek nie stanowiących w spojeniu swem organicznej całości. Chcieć te wszystkie państwa zaopatrzyć w ten sam kodeks cywilny, — znaczy zapomnieć o tem, iż każde z tych państw stanowi samo dla siebie całość z własnemi zwyczajami, obyczajami, a co najważniejsza: z własnemi tradycyami prawnemi. Prawo prywatne niemieckie wykazuje w swym rozwoju nadzwyczajną różnorodność, wytłomaczoną dostatecznie samodzielnym rozwojem politycznym każdego z tych niezliczonych państewek. Zadaniem zaś prawodawstwa nowoczesnego jest uwzględnianie rozwoju i tradycyi politycznej i prawnej, i to tem większe, czem mniej tradycye te przeszkadzają rozwojowi ekonomicznemu państw. Prawo do bytu ma jedynie zjednoczenie prawa karnego, handlowego i wekslowego — bo tego wymagają wzajemne stosunki polityczne i handlowe, — co zaś do zjedoczenia prawa prywatnego, jest ono bez wątpienia bardzo na rękę jurystom, — ale nie publiczności. Nie należy jednak zapominać, iż nie publiczność dla jurystów, ale juryści są na usługi publiczności, a prawa powinny mieć na celu tylko dobro tej ostatniej.

Przyjąwszy to ostatnie za aksyomat a nie zapominając równocześnie, że zadaniem prawodawcy jest uwzględnianie wszelkich tradycyi narodowych, — musimy dojść do wniosku, iż forma zawierania małżeństw jest ze stanowiska państwowego rzeczą zupełnie obojętną. W interesie tegoczesnego rządu leży jedynie regulowanie prawa małżeńskiego i utrzymywanie go pod ścisłą kontrolą. Dlatego też tylko państwo może rozstrzygać o prawności zawartego małżeństwa i o warunkach, pod jakiemi małżeństwo może być prawnie zawarte Nadto może państwo — podobnie jak w wypadkach śmierci lub narodzin — prowadzić spis ściśle urzędowy zawartych ślubów. Z tego wszystkiego jednak nie wynika, aby w rzeczywistym interesie państwa leżało ustalenie tej lub owej formy ślubów. Wmieszanie się w tę sprawę czysto osobistą organów rządowych sprzeciwia się wprost demokratycznej konstytucyi niemieckiej i nie jest niczem innem, jak tylko brutalnym objawem wszechwładzy biurokracyi. Specyalnie w Niemczech ten zwyczaj asysty rządowej zachował się jeszcze z czasów walki kulturnej, podczas której liberalizm często popełniał błędy i sprzeciwiał się własnym swoim zasadom.

W obec pojęć, związanych z ideą nowoczesnego państwa niemieckiego, m a ł ż e ń s t w o   j e s t   z w y k ł y m   k o n t r a k t e m. Czy więc dwoje osobników, należących do związku państwowego, zawiera małżeństwo tylko przy asyście rodziców, opiekunów, lub innych świadków, czy też w obecności urzędnika, — to powinno być państwu zupełnie obojętnem. To samo da się powiedzieć o obopólnem oświadczeniu nowożeńców że wchodzą w związki małżeńskie; czy oświadczenie to zostanie dane uroczyscie księdzu lub pastorowi w kościele, czy zupełnie nie zostanie dane ani księdzu ani urzędnikowi, natomiast nowożeńcy ugodę w tym względzie załatwią sami między sobą — jestto zawsze sprawą w zasadzie czysto osobistej natury, i państwu na tem bezwarunkowo zależeć nie powinno; zadaniem jego bowiem jest czuwanie jedynie nad prawomocnością związku, a do tego wystarcza po pierwsze: uprawnienie do wejścia w związki małżeńskie — i po drugie: zaregestrowanie spełnionego faktu. Warunek pierwszy pociąga za sobą pełnoletność i brak wszelkich ewentualnych przeszkód, mogących stanąć na opak ślubom — warunek drugi ma na celu utrzymywanie w ewidencyi statystyki instytucyi w każdym razie najważniejszej w życiu społecznem, a zawikłania mogące ewentualnie w dalszem pożyciu małżeńskiem wyniknąć, procesy rozwodowe itd. wymagają koniecznie spełnienia powyższego wymagania. Kontrakt małżeński — tak pojęty — nie różni się zupełnie od zwykłego kontraktu kupna-sprzedaży. Jeżeli np. A kupuje od B pole, w takim razie kontrakt jest między nimi prawomocnie zawarty, choćby nawet formalne objęcie na własność nie odbyło się natychmiast; koniecznem jest ono ze względu na osoby trzecie. Przypuściwszy, że B wzbrania się dopełnić przepisanych form, w takim razie kontrakt nie zostanie przez to unieważnionym, — tylko A jest w prawie domagać się w drodze sądowej od B spełnienia rytuału.

Zapatrując się na małżeństwo z tego stanowiska, a zachowując przy tem możliwą przedmiotowość, musimy przyjąć raz na zawsze formę następującą: zawarcie związku musi poprzedzać poświadczenie urzędowe, że przeszkód żadnych nie ma, a następnie zaregestrowanie faktu. To zaregestrowanie mogłoby się odbyć w sposób następujący: Nowożeńcy zjawiają się w przepisanym przeciągu czasu w urzędzie i oświadczają przed dwoma świadkami, że zawarli małżeństwo. Oczywiście forma ta nie jest obowiązującą niewolniczo, bo małżeństwo może być zawarte tak samo przed, jak w chwili wciągnięcia do protokółu, przed lub po ślubie kościelnym.

Nad kwestyą, czy należy zgłaszać się do urzędu przed ślubem czy po ślubie — toczy się spór między kanonistami (Profesor Cremer w Greifswaldzie i — „Reichsbote“). Za i przeciw obejmuje dużo dowodów wprost komicznych n. p. przeciw zgłaszaniu się po ślubie przemawia niezbity fakt(!), iż nowożeńcy są zawsze do głębi

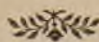
wzruszeni, że muszą słuchać powinszowań i przyjmować gości, a co najważniejsza(!!) wyjeżdżają w podróż poślubną; obowiązek zjawienia się w urzędzie po ślubie znaczyłby więc to samo, co konieczność przewleczenia podróży!....

Gubią się więc uczeni teologowie w kombinacyach, jakby usunąć niebezpieczeństwo, grożące podróży poślubnej, — i ostatecznie wynaleziono aż trzy rozmaite sposoby wydobycia się z matni. Nowożeńcy mają s w o b o d n y w y b ó r: 1) albo trzymają się obecnego status quo t. z. zawierają małżeństwo przed cesarskim urzędnikiem a ceremoniał kościelny mogą dopełnić lub nie, — rząd w to wcale nie wchodzi; 2) albo po pewnym oznaczonym czasie, który upłynął od zawarcia ślubu kościelnego oświadczają się w urzędzie w celu zarejestrowania; 3) albo wreszcie w kilka dni przed lub w sam dzień ślubu oznajmiają dotyczącemu urzędnikowi swój zamiar i mianują równocześnie dwóch pełnomocników, którzy po zawarciu małżeństwa doniosą o tem urzędowi dla ostatecznego zarejestrowania faktu. We wszystkich trzech wypadkach zapowiedzi wyprzedzają wydanie poświadczenia, że przeszkód w zawarciu małżeństwa nie ma.

Tak pojęte „w o l n e m a ł ż e ń s t w o“ nie ujęłoby kompetencyi państwa nic, prawo małżeńskie nie straciłoby również nic ze swej doniosłości, — a społeczeństwo niemieckie uzyskałoby w tym kierunku większą swobodę. Różnica, (ze stanowiska prawnego nieznaczna, — ale w praktyce bardzo doniosła), między dawną formą a proponowaną, byłaby ta, że kiedy nowożeńcy w Niemczech dotychczas mówili i mówią stale: „zawieramy małżeństwo“ — mogliby mówić w przyszłości: „zawarliśmy małżeństwo“ — i byłoby im dozwolone złożyć to oświadczenie przez pełnomocników.

Parlament niemiecki otrzymał petycyę, zredagowaną w tym duchu, a opatrzoną setkami tysięcy podpisów. Widocznem jest z tego, iż znajduje się w Niemczech bardzo dużo jednostek, których religijne uczucie jest dotknięte faktycznem zawarciem małżeństwa — bez św. sakramentów. Szczególniej odnosi się to do kobiet, które przed ołtarzem stają — według teraźniejszej ustawy — już jako prawe żony swych małżonków. Reforma, której przeprowadzenie zawierała petycya — ustanowiłaby nie fakultatywne cywilne małżeństwo (fakultative Civilehe), lecz fakultatywne śluby kościelne (fakultative kirchliche Eheschliessung) t. zn. m n i e j s z o ś ć nowożeńców — bo liczba podpisów na petycyi nie powinna łudzić, jakoby reformy żądał ogół ludności — brałaby naprzód ślub w kościele a dopiero potem zgłaszałaby się w urzędzie, — gdy tymczasem w i ę k s z o ś ć pozostałaby przy teraźniejszym zwyczaju. Czyż jednak dla tego, że to tylko mniejszość żąda reformy, ma ona nie przyjść do skutku? I dla czegóż wydawać zawsze prawa jedynie dla większości, jeżli jest możebnem zadowolnić cały ogół!

Niemcy mają ogólne i tajne prawo głosowania, swobodę wykonywania rzemiosł. wolność zmiany miejsca pobytu itp. prawa gwarantujące wolność osobistą; wolność religijna w ogólności a w szczególności w o l n e m a ł ż e ń s t w o jest tylko konsekwencyą konstytucyi niemieckiej.



POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

List hr. Zygmunta Wielopolskiego.

W „K r a j u“ petersburskim ukazał się list hr. Zygmunta Wielopolskiego (bliższe szczegóły w „Kronice warszawskiej“ zamieszczonej w dzisiejszym numerze pisma naszego) piętnujący w sposób bezwzględny nasz ruch rewolucyjny w r. 1863 i przyznający z charakterystycznym cynizmem, że rzeczywistym inicyatorem osławionej branki, poprzedzającej styczniowe powstanie, był nie hr. Aleksander Wielopolski, lecz autor listu. O liście tym takie wypowiada zdanie „D z i e n n i k K r a k o w s k i.:“

„Jesteśmy przez naszych — jakto powiedzieć... „najpierwszych“ w społeczeństwie przyzwyczajeni do czytania wszystkiego, co tylko cierpliwy papier znieść może. Do elukubracyi na tle polityczno-historycznem takich: Tarnowskich, Koźmianów, Moszyńskich i innych tym podobnych, przyzwyczailiśmy się już, jak do wielu innych rzeczy brzydkich, które życie przynosi, lecz których uniknąć trudno. Ci panowie zrobili sobie doktrynerskie rzemiosło z plugawienia historyi narodowej, z rzucania błotem na tych, do wysokości których nie dorośli ani charakterem, ani zdolnościami, ani zaletami serca; — w każdym jednak razie wiemy z kim mamy do czynienia. Prawdziwie oburzającemi są dopiero występy hr. Zygmunta Wielopolskiego, w. łowczego dworu carskiego, który od czasu do czasu chwyta za pióro, by dać Polakom naukę patryotyzmu w ogóle, z której oczywiście wynika nauka zachowania się na przyszłość.

Cenną jest u ludzi odwaga przekonań, lecz pokrewna z nią bezczelność należy chyba do najbrzydszych wad, szczególniej u ludzi, którzy, czy to z urodzenia, czy ze stanowiska nabytego pracą stoją na świeczniku i innym przyświecać i dobry przykład dawać powinni. Taki margrabia, który ma odwagę powiedzieć głośno: „ja jeden, ówcześnie na urzędzie prezydenta m. Warszawy... przeparłem zawieszenie świeżo wydanego prawa o poborze rekruckim dla przeprowadzenia poboru w formie branki“ — jest albo człowiekiem pozbawionym zupełnie poczucia moralnego, albo — chorym!

Ktokolwiek choć trochę obeznany jest z historyą r. 63-go, wie czem była t. zw. „branka.“ Powstania nie powstrzymała, owszem przyspieszyła go, a sama dla siebie była aktem brutalnego, bezcelowego gwałtu.

O innych ustępach listu szanownego margrabiego nie wydajemy sądu — bo jak on sam powiada „w obronie mego ojca ani najbliższych jego współpracowników stawać za małym się czuję; zresztą historya ich już osądziła,“ podobnie też osądzi ona wybryki jego margrabiowskiego pióra.

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(C i ą g d a l s z y).

Rzecz była prosta. Wasylcew już dawno uchodził za liberalnego i zapisany był źle u wszystkich wpływowych osobistości. Tej zimy wydali profesorowie i studenci technologicznego instytutu bankiet z powodu jakiejś uroczystości, na bankiecie tym miał być obecny Wielki książę, dostojny protektor instytutu. Jego Wysokość dała poznać, że nie byłoby mu przyjemnie spotkać się z Wasylcewem; powiadomiono tegoż o tem, ale on odpowiedział, że jeżeli nie życzą sobie jego obecności — należy mu posłać oficyalny nakaz, by nie wziął udziału w bankiecie, gdyż on uważa się tak dobrze, jak każdy inny profesor, za gospodarza. Oficyalnego zakazu, rozumie się, nie posłano, a w dzień naznaczony zajął Wasylcew miejsce między innymi profesorami u stołu biesiady. W dwa dni potem zjawił się u niego naczelnik policyi i zaproponował mu uprzejmie, aby się podał do dymisyi i zamieszkał w swoich dobrach, z których nie wolno mu się było wydalać. Dla większego bezpieczeństwa dodano mu dwóch aniołów-stróżów w mundurach żandarmów, żeby mu w tej podróży towarzyszyli. W takich okolicznościach nastąpił powrót Stefana Michałowicza do tak dawno opuszczonego ojczystego domu.

Można sobie łatwo wyobrazić, jak wiele sensacyi wypadek ten narobił w okolicy. O nowoprzybyłym i o przyczynach jego nieprzewidzianego zjawienia się krążyły najniedorzeczniejsze, przesadne pogłoski; wielu przeczuwało w nim niebezpiecznego spiskowca. To podejrzenie otaczało go tajemniczą, równie zastraszającą, jak pociągającą glorią; w Rosyi bowiem, nawet ludzie konserwatywni, o ile nie są członkami tajnej policyi, żywią instynktowną, mimowolną cześć dla politycznych przestępców.

Barancowowie byli najbliższymi sąsiadami Wasylcewa. Nie można się zatem dziwić, że u dwóch starszych panien, Leny i Lizy, rozbudziło się pewne uczucie własności co do interesującego sąsiada, który im spadł jak z nieba. Był on kawalerem, a chociaż prawdę powiedziawszy, do młodych zaliczanym być nie mógł, bo przekroczył czterdziestkę, więc nie mógł mieć sławy Adonisa, ale w tych czasach tak ubogich w epuzerów, mógł stanowić dobrą partyę. Wasylcew zdziwiłby się zapewne niemało, gdyby mu powiedziano jaką rolę odgrywał w rozmowach i planach dwóch młodych dziewcząt.

Dziwnym przypadkiem nie mógł ani razu wyjść, by nie spotkać Leny i Lizy, a co szczególniejsza zawsze w niezwykłych malowniczych sytuacyach. To natknął się nagle na swawolną Lenę, która jak wiewiorka wdrapała się zręcznie na drzewo i przez gęste liście kokieteryjnie na niego spoglądała; tam znowu marzycielska Liza w stroju tęsknej Ofelii nachylała się nad strumieniem z wiankiem niezabudek w ręce. I trzeba było słyszeć z jakim wdziękiem panny przerażone wykrzykiwały, ujrzane tak znienacka. Ale wszystko to nie prowadziło do niczego. Wasylcew kłaniał się sztywno, zimno i odchodził. Do rozmowy nie przyszło nigdy. Nie można się zatem dziwić, że panny przyszły wreszcie do wniosku niezbyt pochlebnego dla ich sąsiada, uważały go za nieokrzesanego niedźwiedzia. Natomiast między nim a Wierą, zawiązała się znajomość w sposób prosty, wcale nie poetyczny. Lato miało się ku końcowi, brudna dżdżysta jesień nadeszła; nuda wyganiała przecież Wasylcewa i skłaniała go do szukania rozrywki w dalekich przechadzkach. Ale jak wszyscy ludzie, którzy jeszcze nigdy w ruskiej wiosce nie mieszkali, napotykał na swej drodze rozmaite trudności, które mu się wydały wielkiemi niebezpieczeństwami.

W kołach profesorskich, w których Wasylcew dotąd się obracał, nie przyszłoby nikomu przez myśl, posądzać Wasylcewa o tchórzostwo, przeciwnie koledzy lękali się zawsze, żeby ich, z powodu jego zbytniej

Smutno! Mieliśmy swego czasu szlachtę i arystokracyę z niej wyszłą. które miały mnóstwo błędów, lecz okupywały je wieloma zaletami a nawet w swych wadach zdradzały pewną wielkość. Dziś inaczej. Taki marny epigon z całym cynizmem bierze na siebie odpowiedzialność za morze krwi wylanej, za ocean nieszczęść, który wylał się na Kongresówkę — bo nikt inny, tylko tacy jak ów prezydent m. Warszawy i zgraja im podobnych pchali nieszczęśliwy kraj do kroków nierozsądnych zapewne, lecz podyktowanych rozpaczą. Oni uratowali głowy i majątki z pogromu za cenę wszystkiego, co drogie uczciwemu człowiekowi i dobremu Polakowi, dziś chełpią się z tem i lżą tych co spełnili swój obowiązek.“

* * *

Litwini przeciw Polakom.

W „Dzienniku Kujawskim“ czytamy:

U Litwinów uwydatnia się od pewnego czasu bardzo wybitny prąd narodowy. Nie byłoby w tem nic zdrożnego, gdyby prowodyrowie nie parli do potargania węzłów, które Litwę łączą z Polską od pięciu wieków. Lecz zachodzą objawy, które ani prawego Polaka ani patryoty Litwina zbudować nie mogą. Już „Auszra“ pismo litewskie, które się pojawiło przed kilkunastu laty, wywiesiła chorągiew buntu przeciw dziełu Jagiełły, uwieńczonemu 1569 wiekopomną Unią Lubelską ku zobopólnemu dobru obojga narodów: polskiego i litewskiego. Teraz zaś rozżarza namiętności u Litwinów tygodnik „Lietuva,“ poza którym stoją zamaskowani fanatycy, rozrzuceni podobno po całej gubernii suwałkowskiej, którą, jak się zdaje, za główne pole swej działalności obrali. W parafii Łóździeje rozegrały zię niedawno w kościele między Polakami a Litwinami przykre sceny z powodu sporów o śpiew. Parafia składa się z 40 wsi, zamieszkałych przez litewskich chłopów, z miasteczka oraz 12 dworów, gdzie mieszkają Polacy, których chłopi nazywają „szlachtą,“ lubo to są przeważnie oficyaliści i mieszczanie. Chłopi litewscy, namówieni przez agitatorów, zażądali od księdza, aby w kościele urządził śpiew litewski. „Szlachta“ tj. ludność polska oparła się temu i ksiądz, chcąc zadowolnić obiedwie strony, kazał jednej niedzieli śpiewać pieśni polskie, drugiej litewskie. To nie podobało się ani szlachcie, ani chłopom i dnia 16 lutego przyszło z tego powodu w kościele do zaburzeń. Gdy Polacy zaśpiewali po polsku, chłopi, których było więcej, przekrzyczeli ich, zaintonowawszy pieśń litewską. Działo się to podczas Mszy św., ale w szale nie uszanowano nabożeństwa. Nareszcie wśród gorszących krzyków przyszło w kościele do bijatyki, Litwini wyparli „szlachtę“ na cmentarz i bójka toczyła się dalej w mieście, do której wmieszali się jeszcze i żydzi, biegnąc „szlachcie“ na ratunek. Ostatecznie skończyło się na tem, że w awanturę wmieszała się władza, księdza wywieźli, kościół w Łoździejach kazał gubernator zamknąć.

Roztropniejsi z pośród Litwinów ubolewają nad tym smutnym wypadkiem, ale „Lietuva“ upiększa go i wciąż rozdmuchuje zaszczepioną już w sercach Litwinów ku żywiołowi polskiemu niechęć. Według niej prąd separatystyczny ogarnął już wielką część gubernii Suwałkowskiej a nawet niektóre okolice na Żmudzi, jak Kroże, Rosieny itd.

Zdawaćby się mogło, że kość niezgody między Litwę a Polskę rzucają Moskale, lecz pisma polskie, które tę sprawę bliżej śledzą, nie przepisują w tem Rosyanom żadnej winy. „Przegląd Wszechpolski“ i korespondent „Nowej Reformy“ stwierdzają, że bunt wychodzi od samych Litwinów, a jest on skierowany także i przeciw rządowi rosyjskiemu.“

— ski.





Edmund de Goncourt.

Dnia 16 lipca zmarł nagle w ciągu kilku godzin Edmund de Goncourt w Champrosay pod Paryżem u przyjaciela swego Alfonsa Daudeta. Natychmiast po śmierci Ed. de Goncourta Alf. Daudet rozesłał depesze do wszystkich dzienników paryskich: „Ed. de Goncourt zmarł nagle tej nocy w Champrosay na zapalenie płuc“. „Le Journal“ podaje następujące sprawozdanie jednego ze swych współpracowników, wysłanych do Champrosay po otrzymanej ztamtąd depeszy:

„Wysiadłszy z wagonu na stacyi Ris Orangis, zastałem powóz, przyjeżdżający we czwartki z Champrosay na wszystkie pociągi po gości, którzy w ten dzień zwykle odwiedzają dom państwa Daudet. Dziś atoli nie goście, lecz dziennikarze zajęli miejsca w powozie. Przebywszy kilka kilometrów żyznych wiejskich łanów, przeciętych szerokim gościncem wysadzanym topolami, powóz zajechał przed obszerną willę Alf. Daudeta. Dom cały i wielki park po za nim stoją pogrążone w ciszy. Szara, bezsłoneczna pogoda harmonizuje ze smętkiem, jaki tchnie od tego domu zawsze tak wesołego a dziś będącego w żałobie. Służący wprowadził nas do pracowni Daudeta, którego zastajemy w towarzystwie Gustawa Gefroy, jednego z najbliższych przyjaciół de Goncourta. Wejście nasze nie przerwało żadnej rozmowy, bo obadwaj ci ludzie milczeli w nadmiarze swego bólu. Daudet, zwróciwszy ku nam smutną twarz swoją, rzekł:

— Mój syn Lucyan zaprowadzi panów do pokoju, w którym spoczywa zmarły.

Idziemy na drugie piętro, a w chwili gdy przestępujemy próg pokoju, w którym umarł de Goncourt, wysunęła się z niego pani Daudet, zajęta dotąd zdobieniem go kwia-

---

odwagi, nie pociągano do odpowiedzialności. Gdy jego profesorska karyera tak niespodziewanie się skończyła, mówili najodważniejsi z jego przyjaciół: To było nieuniknione. Czyż z taką szaloną pałką, jak Wasylcewa, można żyć w Rosyi?!

Stefan Michałowicz uważał się w duszy za człowieka zuchwałego. Lubił on w swych snach tajemniczych — w tych snach, z których się nawet najbliższemu przyjacielowi nie zwierza — stawiać się w rozmaite nadzwyczajne położenia i nierzadko brał udział w „swej pracowni“ w obronie barykad. Chociaż Wasylcew był przekonany o swej odwadze, miał on, trzeba to przyznać, wielki respekt dla psów wiejskich, o których mówiono, że przeszłej wiosny rozszarpały przechodzącą żebraczkę, i przed bykiem, który już dwa razy podniósł na rogach swego pasterza w górę i wyrzucił go w powietrze, więc Wasylcew trzymał się od nich zdaleka i omijał je starannie. Razu jednego zdarzyło się, że zapuścił się daleko od domu, szedł, jak zwykle, z rękami na plecach, z głową spuszczoną, zatopiony w myślach, nie zważając na drogę.

Gdy spojrzał w górę, znalazł się w dość trudnej sytuacyi: znajdował się na bagnistej łące, a nogi jego grzęzły w wilgotnym mule do kostek, przed nim płynął szeroki strumień, a za nim rycząca trzoda bydła.

— Hej, hej! pastuchu, zatrzymaj twoje bydło, — wołał Wasylcew.

Pastuch, młody piętnastoletni chłopak, słabowity i głupowaty, którego zrobiono pastuchem, bo do czego innego nie był zdolny, zamruczał coś w odpowiedzi i śmiał się głupio, jak idyota. Wasylcew stał niezdecydowany.

— Przeskocz pan strumień, nie jest głęboki, — zabrzmiał nagle młody, prawie dziecinny głos, w którym czuć było powstrzymywany śmiech.

Wasylcew spojrzał w stronę, zkąd zabrzmiała rada i zobaczył na wzgórku przeciwległym panienkę może piętnasteletnią w kapeluszu, przybranym wyblakłą wstążką, w sukience zaciasnej i zakrótkiej.

Wiera, którą także nuda tu przypędziła, przyglądała się już od chwili temu dziwnemu, suchemu człowiekowi, który się tak bardzo trwożył takiemi drobiazgami.

— Przeskocz pan śmiało — zawołała raz jeszcze, ale Wasylcew nie mógł się zdecydować. Wtedy zbiegła Wiera ze wzgórka, weszła w bagno, przyniosła deskę i przerzuciła ją przez strumień, przyczem mocno zawalała swoje białe pończoszki i szare spodnie sąsiada.

Po przebytem niebezpieczeństwie, Wasylcew podziękował swej wybawicielce. Stojąc przed nią z wymuszonym uśmiechem, wstydził się swego tchórzostwa. Nie chciał odejść odrazu, sprawiwszy tak niekorzystne wrażenie, ale nie wiedział właściwie jak ma rozpocząć rozmowę z tą swawolną dziewczynką, spoglądającą na niego z nieukrywaną ciekawością podlotka.

Wreszcie zapytał.

— Jakążto pani ma książkę, czy wolno zobaczyć?

Wiera trzymała w rękach swoje drogie „Żywoty Świętych.“ Wasylcew otworzył książkę i przeczytał co następuje: „Imperator Dyoklecyan rozgniewany na świętego Izydora, rozkazał straży zaprowadzić go do kapitolu....“

— Cóżto za głupstwa?! — wyrwał się Wasylcew mimowoli.

Błękitne oczy Barancowskie błysnęły gniewnie. Wiera odebrała szybko książkę, odwróciła się i poszła drogą ku domowi.

Przez cały wieczór myślał Wasylcew nieraz o komicznem porannem zajściu, a to wspomnienie wywoływało zawsze uśmiech na jego usta i lekki gniew.

Następnego dnia poszedł prawie nieświadomie na miejsce wczorajszego wypadku. Ku swemu zdziwieniu ujrzał tam także Wierę, stała nad strumykiem zamyślona, jakgdyby go oczekiwała.

— Dzień dobry — powiedział i wyciągnął uprzejmie rękę.

— Czy to wszystko naprawdę nie jest prawdą? — zapytała, zamiast odpowiedzieć, podnosząc na niego swe wielkie oczy.

Usłyszawszy wczoraj tak niepochlebny sąd o swojej ukochanej książce, zagniewała się najprzód; wkrótce jednak gniew zmienił się w inne przygnębiające uczucie: wszyscy mówią, że sąsiad jest uczony, on przecież

tami, tak bardzo lubionemi przez zgasłego mistrza. Piękna, arystokratyczna twarz de Goncourta w śmiertelnej swej nieruchomości jeszcze wyszlachetniała, złagodniała. Bujne, jedwabiste, srebrne i falujące włosy otaczają wspaniałe czoło zmarłego, którego maska pełna dumy i majestatu, wzrusza nas swem pięknem. Zostawszy tu czas jakiś schodzimy na dół do pracowni Daudeta. Stoimy wszyscy milcząc, wreszcie Daudet zaczyna mówić krótkiemi, urywanemi zdaniami, wypowiadając nam, że nie jest w stanie zebrać myśli, czuje się bowiem powalony gromem tej niespodziewanej, śmierci, która mu wydarła najserdeczniejszego przyjaciela: „Doznaję wrażenia, jakby stary mój i kochany towarzysz został zamordowany. Śmierć go schwyciła, jak zbrodniarz zaczajony i mordujący przechodnia, który szedł bezpiecznie i pełen ufności. Edmund de Goncourt przyjechał do Champrosay przed kilku dniami z zamiarem pozostania u nas czas jakiś, jak zwykle w tej porze roku. Gdy przybył tu w sobotę, był nieco cierpiący na swe bóle wątrobiane. Mówił, że zapewne rychło go opuszczą, gdy wypocznie wśród nas kochających go serdecznie, bo zapomni o świeżo doznanych nieprzyjemnościach po ukazaniu się dziewiątego tomu „Dziennika.“ I rzeczywiście pozdrowiał, był wesoły, niezwykle ożywiony i rozmowny w ten uroczy, pociągający, właśny swój sposób, znany tylko bliższym mu osobom. Opowiedział mi między innemi, że przez pierwsze dziesięć lat po śmierci swego brata Juliusza co noc się z nim spotykał, bo wszystkie sny połączone były ze wspomnieniami o Juliuszu. Nocami więc żył w dalszym ciągu w towarzystwie ukochanego brata i współpracownika. Naraz przestał się z nim spotykać w snach swoich i nocą był samotny, tak jak był samotny na jawie. Otóż ostatniemi czasy znów Juliusz zaczął się zjawiać w snach Edmunda. Gdy tylko zasnął, był pewien spotkania się z bratem. Ach, z jakiem wzruszeniem opowiadał mi o tem ułudnem szczęściu!... Bo ten brat jego był najwyższem przywiązaniem, jakie czuł w życiu! Nie zdarzyło mi się spotkać drugiego przykładu tak wzniosłej, głębokiej miłości, wiążącej dwóch braci, miłości, która oparła się śmierci i przetrwała blizko ćwierć wieku w całej pełni po za ostatecznem rozstaniem się tych dwóch kochających się istot. Otóż Edmund de Goncourt przybył do nas w sobotę nieco cierpiący, następnych dni był zdrów i wesół, aż dopiero wczoraj, tj. w środę uczuł znów ból wątroby. Lecz był przyzwyczajony do tego rodzaju ataków i zażądał, by mu przygotowano ciepłą kąpiel, która zawsze oddziaływała uspokajająco. Może kąpiel była za gorąca? bo przed wyjściem z wanny czuł się bardzo osłabiony, tak dalece nawet, że zawołał Lucyana, prosząc, by mu powiedział, która godzina, gdyż nie miał siły sięgnąć po zegarek. Ubrawszy się, chciał iść na przechadzkę do parku, lecz namówiłem go, by wpierw wypoczął, i usłuchał mojej rady. Nie przypuszczał on groźniejszej choroby i zaczął ze mną rozmawiać o proszonym obiedzie, jaki dziś we czwartek miał mieć u nas miejsce. Domagał się nawet, by koniecznie był kompot z brzoskwiń. Również i ja, który się uważam za dość biegłego fizyognomistę, nie dostrzegłem w jego twarzy najmniejszego śladu groźby, mogącej nas naprowadzić na myśl o niebezpieczeństwie.

Idąc za naszą namową, Goncourt wypoczywał w pokoju, ale dla wszelkiej pewności, przez troskliwość zatelegrafowałem do Paryża, do jego doktora. W kilka godzin już doktor Barier był tutaj. Zbadawszy Goncourta rzekł, że spostrzega symptomaty zapalenia płuc. Przez resztę dnia byliśmy wszyscy w pokoju chorego, a wieczorem udałem się o zwykłej godzinie na spoczynek, pozostawiając Edmunda z moją żoną i z Lucyanem. Około północy zbudzono mnie, mówiąc, że stan chorego bardzo się pogorszył. Gdym wszedł do jego pokoju, usłyszałem złowrogie, śmiertelne chrapanie. Przemówiłem, lecz nie odpowiedział nic, nie wiem nawet, czy mnie poznał, przynajmniej żadnej nie było tego oznaki, zkądże jednak wiedzieć możemy, jak długo trwa przytomność w umierającym człowieku?... Chrapanie wzmagało się i przerażało nas, pamiętam, że w rozpaczy mojej widząc, że zgon jest już blizki, pochyliłem się nad moim Edmundem i rzekłem z głębi zbolałego serca: „Va Edmond, va retrouver ton frère.“ W godzinę potem już nie żył.“

Alfons Daudet zamilkł a po dłuższej chwili zawołał z bólem a zarazem z wymówką prawie naiwną, lecz usprawiedliwioną zmęczeniem i rozdraźnieniem po tych godzinach niespania i rozpaczy:

„I powiedzieć, że wczoraj o tej porze był zdrow, dziś o tej godzinie powinniśmy się wspólnie weselić z gośćmi sproszonymi na obiad, a zamiast wesołości mamy żałobę! Ach, niedobry przyjacielu, pocóżeś nas opuścił!...“

Znów nastąpiło głuche milczenie. Wtem ktoś z pomiędzy naszego grona, chcąc oddalić myśli gospodarza domu od bólu chwili obecnej, zapytał półgłosem: Kiedy się spotkał po raz pierwszy z Edmundem de Goncourt? Milcząc, popatrzył na pytającego, wreszcie rzekł, ożywiając się w miarę opowiadania:

— Było to jeszcze za trzeciego cesarstwa, podczas pierszego przedstawienia „Henriette Maréchal“, sztuki napisanej przez obu braci de Goncourt. Wtedy sztuka upadła z powodów politycznych, wiedziano bowiem, że księżna Matylda obroniła ją przeciwko surowości cenzury. Tak. wtedy „Henriette Maréchal“ została wygwizdaną, a pamiętacie panowie, gdy po latach kilkunastu ponownie ją wystawiono w Odeonie? Odniosła tryumf... najświetniejszy tryumf, tylko, że jeden z autorów już tego dnia tryumfu nie dożył. Otóż po raz pierwszy spotkałem się z braćmi de Goncourt, podczas przedstawienia „Henriette Maréchal“. Nie pamiętam. bym kiedy był obecny podczas takiej szalonej wrzawy w teatrze... gwizdano od pierwszej chwili podniesienia kurtyny, chociaż na początek grano „Les Précieuses ridicules“ Moliera, lecz publiczność wyobraziła sobie, że jest to prolog pozostający w związku ze sztuką braci de Goncourt. Oburzeni tą niesprawiedliwością, ja i moi koledzy odpowiedzieliśmy na gwizdanie grzmotem oklasków. Widzę się jeszcze zajmującego z kolegami lożę trzeciego piętra. Hałasowaliśmy jak banda szalonych zapaleńców, która tu przybyła z zamiarem manifestowania swych zasad i poglądów literackich. Ja zwłaszcza zwracałem uwagę djabelskością mojej gwał-

---

musi wiedzieć, a gdyby to wszystko o tych męczennikach bajką było?

Te wątpliwości dręczyły ją, musiala je usunąć za wszelką cenę.

— Pani myśli o tej książeczce — zaśmiał się Wasylcew — no proszę, niech pani osądzi sama: Dyoklecyan panował w Bizancyum, a kapitol znajdował się w Rzymie. Jakżeż więc mógł rozkazać straży zaprowadzić tam męczennika Izydora?

— Ach, o tem pan mówi! więc tylko to jest nieprawdą.

— Jakto tylko to? Czyż to nie wystarcza?

— No, a czy prawda, że byli męczennicy?

— Tak, byli.

— A czy ich dręczono, kamienowano, palono, rzucano dzikim zwierzętom na pożarcie?

— Wszystko to się działo.

— Dzięki Bogu — zawołała Wiera, oddychając.

— Jakto?.... Dzięki Bogu, że ich męczono?

Oryginalna dziewczyna bawiła Wasylcewa.

— Ach nie to, nie to, rzeczywiście nie to — dodała Wiera spiesznie, zmieszana nieco — chciałam tylko powiedzieć: dzięki Bogu, że przynajmniej wtedy byli ludzie dobrzy, święci męczennicy.

— Męczennicy są i dzisiaj — powiedział Wasylcew poważnie.

Wiera spojrzała na niego zdziwionem, powłóczystem spojrzeniem.

— Tak w Chinach — powiedziała wreszcie.

Wasylcew zaśmiał się znowu.

— Dlaczegóż szukać tak daleko... bywają męczennicy bliżej.

Wiera spojrzała na niego, na jej twarzy malowało się coraz większe zdziwienie.

— Czyż pani nigdy nie słyszała o tem, że u nas w Rosyi zamykają ludzi w cytadeli, wysyłają na Sybir, że ich często wieszają. Jakżeż pani pytać się może, czy bywają jeszcze męczennicy?

— Tak, ale u nas męczą tylko złoczyńców.

Słowa te wyślizgnęły się jej, zaledwie je wypowiedziała, rumieniec oblał jej twarz, przypomniała sobie bowiem, że jej sąsiad jest zesłany.

— Zdarza się, że wysyłają także „na posielenie“ ludzi za coinnego — powiedział Wasylcew półgłosem.

Chwilę szli obok siebie milcząc, Wiera ze spuszczoną głową, skubiąc końce swej chustki.

Rój dziwnych, splątanych myśli, szumiał jej po głowie. Lękała się bardzo powiedzieć coś głupiego, mogła nawet obrazić sąsiada, ale myśl jedna była dla niej tak ważna, tak pełną znaczenia, nie mogła się wstrzymać od pytania.

— A dlaczego pana zesłano? — spytała nagle, szybko, nie patrząc na niego.

Wasylcew uśmiechnął się.

— Pani-by to chciała wiedzieć?

Wiera pochyliła głowę, ale twarz jej mówiła za nią.

— A o dzisiejszych męczennikach, czy chciałaby pani także słyszeć?

Oczy Wiery zapłonęły.

— Jeżeli pani chce, opowiem to. ale uprzedzam, że będę musiał o wielu, wielu rzeczach mówić.

Twarz Wiery promieniała.

— Także i o Dyoklecyanie i kapitolu będę może musiał mówić, czy pani będzie słuchała?

— Będę, tak, będę.

V.

Następnego dnia złożył Wasylcew wizytę hrabstwu Barancow. Znajomość zawiązała się szybko, a gdy po pewnym czasie Wasylcew oświadczył, że chciałby uczyć Wierę, przyjęto jego propozycyę z wdzięcznością, zwłaszcza, że hrabia, pomimo swej niedbałości, doznawał czasem wyrzutów sumienia na myśl, że najmłodsza z Barancowów wyrasta tak bez wykształcenia, jak jakaś wiejska dziewczyna. Od tego czasu siostry nie wątpiły, że Wiera zachwyciła sąsiada. Winszowały jej żartem wielbiciela. Nabieranie ją „wielbicielem“ stało się wkrótce ich przyzwyczajeniem.

Ta gadanina i te zaczepki gniewały i mieszały Wierę z początku. Powoli jednak

towej, południowej natury. Nosiłem wtedy długie na ramiona spadające włosy, a w ten pamiętny dzień włożyłem srebrną kamizelkę, lśniącą i mieniącą się jak lustro. Była to moja czerwona kamizela!*) Na moje usprawiedliwienie nadmieniam, że miałem wtedy lat 25. W jednej z lóż pierwszego piętra spostrzegłem hrabiego d'Osmoy, krewnego braci de Goncourt, a wśród osób z nim będących zwracała moją uwagę młoda panna, która zdawała się wybornie bawić naszą hałaśliwością, zwłaszcza zaś podziwienia godnem mojem krzyczącem ubraniem. Pomimo szału, jakim byłem opętany, dostrzegłem, że się zapytała hr. d'Osmoy: kto jest ten kędzierzawy, hałaśliwy, srebrny młodzieniec, który się może wyrwał z domu waryatów? Hrabia powiedział moje nazwisko dodając, że jestem autorem jednoaktowej sztuki „l'Oeuillet blanc" niedawno wystawionej w teatrze komedyi francuzkiej. Panną tą była Julia Allard, będąca obecnie moją żoną. Podczas antraktu zaproponowano mi zapoznanie się z autorami. Udałem się więc za kulisy i spotkałem się z Edmundem i Juliuszem de Goncourt. Stali samotni, bladzi, znękani, nie rozumiejąc przyczyny wrzawy, złości, nienawiści, jaką wywoła napisana przez nich sztuka. Zapalczywość słów moich, żarliwość uznania, jakie im wyraziłem, zbliżyła nas od razu, i Edmund de Goncourt ściskając mnie za rękę, zapytał: „Cóżeśmy uczynili, by tak się nad nami znęcano?" Odpowiedziałem mu jeszcze mocniejszym uściskiem, który miał wyrażać: „Nie obawiaj się niczego, bo my młodzi z tobą jesteśmy". Ach młodość, młodość! Jakaż to rzecz piękna, pełna wiary i złudzeń! A ja byłem młody w całej pełni tego wyrazu. Lecz pomimo moich wszystkich rojeń, ani mi przyszło na myśl, że w dziesięć lat później zawiążę ze starszym z braci de Goncourt ścisłą, serdeczną przyjaźń, która się przedłuży aż do ostatniej chwili jego istnienia! Tak, przyjaźń Edmunda de Goncourt była jedną z wielkich rozkoszy mojego życia."

*) Alfons Daudet słowy: „Była to moja czerwona kamizela" — robi aluzyę do słynnej czerwonej kamizelki a la Robespierre, którą włożył Teofil Gauthier, idąc na pierwsze przedstawienie „Hernaniego" Wiktora Hugo. Było to na początku epoki romantyzmu, w 1830 roku.

Edmund de Goncourt nie był żonaty, rodziców wcześnie utracił i zawsze mieszkał wspólnie ze swym bratem Juliuszem. Po jego śmierci najbliższymi jego serca byli państwo Daudet, księżna Matylda, którą zawsze nazywał „la bonne princesse", Emil Zola, Gustaw Geffroy i liczne kółko literatów i artystów, uczęszczających co niedzielę na zebrania na „Strychu", o którym tak często Goncourt wspomina w swoim „Dzienniku". „Strychem" nazwał drugie a zarazem ostatnie najwyższe piętro swego pałacyku, będącego rodzajem muzeum sztuki francuskiej z XIII wieku, oraz sztuki japońskiej, ku której wczesne powziął zamiłowanie i zapoznał z nią Francyę a zarazem Europę, bo dzieła i artykuły które pisał, tłomaczone są na wszystkie języki, podziw i uwielbienie wzniecając całego ucywilizowanego świata. Pałacyk swój Goncourt opisał bardzo szczegółowo w książce pod tytułem: „La Maison d'un artiste". Co stanie się obecnie z tym pałacykiem i z bogatemi zbiorami sztuki, jakie go przepełniają — jeszcze nie wiadomo w chwili obecnej, jak również niewiadome są bliższe szczegóły testamentu, dotyczące fundacyi Akademii imienia braci de Goncourt.

Przed kilku laty Alfons Daudet nie chcąc, by go posądzano o interesowną przyjaźń względem Goncourta, nie mającego spadkobierców swego majątku, zmusił go do wyjawienia swej myśli pozostawienia całego funduszu na rzecz instytucyi, nosić mającej miano Akademii braci de Goncourt, a złożonej z dziesięciu członków oznaczonych imiennie w testamencie, a następnie dopełnianych drogą wyborów, lecz zawsze wśród literatów. Każdy z członków wchodził w dożywotnią używalność 6,000 fr. rocznego dochodu, mając przytem nieograniczoną żadnemi przepisami wolność tworzenia. Wkrótce szczegóły testamentu Goncourta staną się publicznie wiadomemi.

Zwłoki zmarłego mistrza spoczywać będą w Paryżu na cmentarzu Montmartre, gdzie jest pochowany Juliusz de Goncourt, obok zwłok matki i ojca dwóch braci.

Jeden z dzienników paryzkich, wiedząc o blizkich stosunkach Goncourta z Emilem Zolą, wysłał do niego jednego ze swych redaktorów, który tak opisał swoją wycieczkę do Médan: „Wprowadzono mnie do salonu poczekalnego, wychodzącego na wspaniały kwietnik ogrodowy, lecz oczy moje zatrzymały się na wielkim portrecie Ed. de Goncourta, zawieszony naprzeciw portretu Emila Zoli. Wtem drzwi się otworzyły i wszedł gospodarz domu, mówiąc:

— Patrzysz pan na portret mojego przyjaciela, starego kolegi, którego śmierć spadła na nas tak niespodziewanie... Wszak wszyscy byliśmy zdania, że ten człowiek, będący w sile swej twórczości, żyć będzie jeszcze długo, krzepiąc nas widokiem czerstwej starości. Prawda, że podobny jest na tym portrecie?

— Nadzwyczajnie podobny, możnaby myśleć, że przemówi. Przybywam do pana z prośbą o artykuł dla mojego dziennika. Mam polecenie czekać i nie wyjechać ztąd, dopóki pan nie napisze swego poglądu na działalność literacką Edmunda de Goncourt.

— W takim razie musiałbyś pan bardzo długo czekać, bo obecnie nie chcę nic pisać, muszę wypocząć i dla zupełnego wypoczynku zawiadomiłem „Figaro", że przestaję nadsyłać redakcyi artykuły, które tam umieszczałem. Z Goncourtem znałem się długie lata i był czas, gdy przyjaźń nasza żywiej się objawiała, lecz teraz rzadko bywałem na „Strychu", częściej on u mnie bywał, chociaż z Alfonsem Daudet żył w stosunkach o wiele bliższych, niż ze mną. W każdym razie najniezawodniej pisać o nim będę, lecz nie zaraz, pozostawiam to przyszłości.

Emil Zola zamilkł i westchnąwszy, dodał:

— Towarzysze i przyjaciele znikają... Z naszych tygodniowych „Obiadów pięciu", trzech już umarło: Flaubert, Turgeniew, Goncourt — pozostało tylko nas dwóch: Daudet i ja.

Edmund de Goncourt był rodem z Lotaryngii. Urodził się w Nancy w 1822 r. Z woli rodziców czas jakiś był urzędnikiem w ministeryum, lecz nie mogąc się przystosować do tego zawodu, wystąpił ze służ-

---

zaczęła znajdować w tem przyjemność. Przecież to jest przyjemnie, jeżeli mówią, że ktoś się w nas kocha. Wiera urosła sama w swych własnych oczach, odkąd znalazła wielbiciela.

— Jakże się dzisiaj zachował względem ciebie? jeszcze się nie oświadczył? Nie ukrywaj nic przed nami, powiedz — wołały siostry pd każdej lekcyi z Wasylcewem.

A Wiera opowiadała, prawie mimo swej woli, dodając także mimo swej woli — niejedno. Bóg wie zresztą, jak to się stało. Siostry umiały nadać takie znaczenie każdemu słowu, które Wasylcew do niej powiedział, że rzeczywiście teraz, gdy im to opowiadała, brzmiało to zupełnie inaczej, niż wtedy, kiedy on to mówił.

Wiera sama nie spostrzegła, jak sąsiad zawładnął jej myślami, jak obraz jego zmieniony zjawiał się w jej wyobraźni.

— Długi, niepozorny, niemłody mężczyzna, z twarzą szarą, z oczyma tak krótkowzrocznemi, że prawdopodobnie i przez okulary nie wiele widzi — tak opisywała sąsiada zaraz po jego poznaniu.

Teraz, kiedy już był jej uznanym wielbicielem, pragnęła tak bardzo zamienić go w bohatera, że codziennie odkrywała w nim nowe zalety.

Dziś znajdowała, że ma przyjemny uśmiech, drugiego dnia spostrzegła, że gdy się śmieje, tworzą się dokoła oczu jego takie komiczne zmarszczki; zmarszczki stały się nagle bardzo przyjemnemi dla niej.

Żyła teraz w stanie wiecznego oczekiwania. Na każdą lekcyę przygotowywała się nerwowo, z biciem serca, — podczas lekcyi siedziała rozstrojona, pytając: może to dziś?

Jednego dnia siedzieli oboje sami w pokoju. Lekcya już była skończona, ale nauczyciel nie zabierał się do odejścia. Usunął książki na bok i usiadł, podparłszy głowę na ręce. To zdarzało się zresztą nie rzadko.

Wiera siedziała obok niego bez ruchu, zrobiło jej się nagle tak jakoś ciężko i nieswojo, nie mogła się ruszyć: patrzyła na ciemną, chudą, niewielką rękę Wasylcewa, mechanicznie przyglądała się grubej, błękitnej żyle, która zaczynając się u nasady ręki, zwężała się coraz bardziej ku środkowemu palcowi. Zmrok zapadał, ściemniało się, ręka Wasylcewa niknęła coraz bardziej w cieniu. Wiera siedziała milcząca, z każdą chwilą robiło jej się ciężej, nieznośniej, serce tłukło się głośno, w uszach szumiało, jakgdyby gdzieś daleko woda płynęła.

Wasylcew nagle ocknął się z zadumy.

— Wieroczko droga... — zaczął miękko, jakgdyby kończąc rozpoczętą myśl i położył swą rękę czule na jej głowie.

Teraz przeszło jej przez myśl nagle, jak błyskawica: teraz się oświadczy. Ale nerwy jej są nadto naprężone, w piersiach coś kurczy się i podnosi. Jeszcze słowo, a zadławi ją.

— Proszę, proszę, niech pan nie mówi, ja i tak wiem — wyrzekła z trudem, głosem przytłumionym.

Powstała i odbiegła w przeciwny kąt pokoju.

Zdziwiony Wasylcew patrzył na nią przez parę minut, nic mówiąc ani słowa.

— Wieroczko, co tobie się stało? — zapytał wreszcie trwożnie i cicho.

Dźwięk jego głosu uprzytomnił Wierę, nagle zrozumiała, że popełniła wielkie, straszne głupstwo. Co pocznie teraz, jak się wytłomaczy.

Ja myślałam, mnie się zdawało, — jąkała nieprzytomnie i westchnęła.

Wasylcew nie spuszczał z niej wzroku, a wyraz trwożnego zdziwienia na jego twarzy zmieniał się powoli na wyraz podejrzliwy.

— Wiero, życzę sobie, wymagam, żebyś mi powiedziała, co ci się zdawało.

Stał przed nią i trzymał jej rękę, głos jego brzmiał ostro i metalicznie. Błękitne, krótkowzroczne oczy wpiły się jak dwie śruby w jej twarz. Pod tem badawczem spojrzeniem traci Wiera swobodę i panowanie nad sobą. Wie ona, że wyznanie będzie strasznem, ale gdyby nawet chodziło o życie i śmierć, nie mogłaby przed nim zataić prawdy lub skłamać.

— Ja myślałam... że pan jesteś we mnie zakochany — szepnęła urywanym ledwie dosłyszalnym głosem.

Wasylcew puścił jej ręce, jak ukłuty przez pszczołę.

by i z gorączkowym zapałem chwycił za pióro, pisząc artykuły, sztuki, powieści; atoli wszystkie te utwory początkowe nie zjednały sobie powodzenia, wyróżniały się bowiem oryginalnością, poczytywaną autorowi za zbrodnię. Przez lat kilkanaście bracia de Goncourt pisali wspólnie dzieła historyczne na podstawie pracowitych badań XVIII stulecia. Rosny tak mówi o tym dziale ich utworów:

„Za mało cenimy braci de Goncourt jako historyków. Porozumiejmy się wszakże w tym względzie i zauważmy, że nigdy nie mieli oni pretensyi pisania całości dziejów jakiejkolwiek epoki, ani też historyi rozwoju narodowego. Nie, nigdy to nie wchodziło w zakres ich planów. Natomiast z zapałem badali oderwane chwile lub postacie z XVIII stulecia, a nawet z bieżącego XIX wieku. Częściami więc opracowali psychologiczne objawy cywilizacyi, przedstawiając je ze zdumiewającą nowością formy i ze ścisłością niezawodnych dokumentów. Ich dzieła odnoszące się do historyi społeczeństwa francuzkiego stanowić będą nieoszacowane dokumenty dla późniejszych pisarzów. A dzieł tych stworzonych pracowitością braci de Goncourt jest sporo, bo około dwudziestu tomów, stanowiących dwadzieścia okien, któremi patrzeć ufnie możemy na wiek XVIII i na nasze kończące się stulecie!

Prócz kilkunastu tomów historycznej treści, bracia de Goncourt pozostawili kilka tomów traktujących o sztuce, oraz kilka wspólnie napisanych powieści, z których najsłynniejsze są: „Charles Demailly“ (obyczaje świata dziennikarskiego) „Soeur Philoméne“ (szpitale), „Germinie Lacerteux“ (dzieje służącej), „Manette Salomon,“ (malarze, artyści, modelki). Po śmierci Juliusza Edmund de Goncourt napisał: „La Faustin“ (aktorka), „La fille Elisa“ (prostytutka), „Les Fréres Zemgano“ (akrobaci, cyrk.) Przed kilku tygodniami ukazała się jego książka o sztuce japońskiej i najznakomitszym rysowniku japońskim Hokusai, oraz dziewiąty tom „Dziennika“, którego całość jest może najcenniejszym i najżywotniejszem z dzieł zmarłego mistrza, zacnego człowieka i wielkiego artysty, jakim był Edmund de Goncourt.

„Ave Caesar.“

Pożądać namiętnie, bez granic, wszystkie drgania nerwów dostroić do jednego tonu, opasać świat i siebie łańcuchem tysiąca ogniw, ukutych z żądz, bólu, radości, łez i uniesień — jest to zamknąć w sobie świat cały z jego groźnemi burzami i tęczą różnobarwną, jest to żyć. Takie spotęgowanie poczucia łączności swej ze światem jest tylko przywilejem młodości: starzec tak nie żyje, a świat usuwa się od niego coraz dalej, aż wreszcie zepchnie dawnego kochanka w otchłań zapomnienia.

W literaturze — która jest przecież syntezą życia — dzieje się jak w życiu; typy współczesne starzeją się i schodzą do grobu, inne zaś starzeją się przedwcześnie: jednym z tych, co się zestarzeli w młodości, jest bohater współczesny. Zamiast patrzyć na świat, zamiast czuć, chcieć i czynić, wpatrzył się w siebie, analizował subtelnie uczucie, czyn i wolę, a dziś na schyłku swej doby przekonał się z przerażeniem, że znika mu gdzieś jego wola, uczucie i czyn, że zważyła mu się krew w żyłach i przestała tętnić tętnem młodości.

Analizował się, przekonał się o swej niemocy, stracił wiarę w siebie, pozbył się złudzeń, a dziś mu zabrakło żądzy namiętnej, ale prawdziwej, otoczonej orszakiem nieznanych wzruszeń, lecz naturalnych. Czuje się bezwładny i apatyczny, morfinizuje się sztucznemi wrażeniami, ale już nawet zapach zatrutych kwiatów spółczesnego ducha nie jest mu dość silnym.

Chore dziecko odpycha ulubione swe zabawki: stały mu się obojętne, odkąd przestały drażnić jego wolę. Znużenie woli charakteryzuje bohatera doby dzisiejszej. Życie przedstawia się mu jak jednostajna szara płaszczyzna: na jej skraju ołowiano niebo, stykające się z ziemią, kreśli nieubłaganie jednostajną, zimną, biegnącą wkoło linię graniczną, a wyjścia z niej niema. I duch jego czuje się samotny i przygnębiony. Żądze przestały elektryzować, zmysły łaskotać, bo zwykłe a nawet niezwykłe środki straciły urok nowości. Wszystkie rozkosze, które mi życie wabić może, wywołują tylko uśmiech sceptyczny na jego usta: „Znamy już to wszystko! — i te namiętne uściski i nerwowe płacze: komedya!“

Kto przeszedł całą szkołę rozczarowania w teoryi i w praktyce, kto na wszystkie możliwe sposoby eksperymentował swą wolę, żądze i namiętności, ten po zrobieniu obrachuuku spostrzedz musi deficyt: chcieć czegoś określonego już nie jest w stanie. Przejściowem stadyum w tej fazie jest stan gorączkowego poszukiwania drażniących nerwy środków, a charakterystyczną cechą tego stanu jest bezustanne natężanie woli bez wyraźnego skierowania jej na pewien przedmiot. Chore dziecko wie dokładnie, że czegoś chce, lecz wszystko mu jest zbyt łatwe, zbyt szablonowe, zbyt zrozumiałe, jak formuła algebraiczna, do której klucz już posiada: nie emocyonuje go wcale.

Apatya i pożądanie emocyi — oto kontrast, który nosi w sobie bohater doby dzisiejszej. Chce wiedzy, a jednocześnie gorzko szydzi z jej wyników; on, co dawniej biczem bezlitśnej krytyki tak ćwiczył swego ducha, że opadały z niego dogmaty, jak kawały ciała odrywające się od szkieletu — dziś nie cofa się przed próbą ostatnią i prosi wiary, tej odwiecznej siostry miłosierdzia dla duchów chorych, aby przyszła do niego, położyła rękę na głowie i krzyżem go przeżegnała. „Chcę wierzyć,“ woła, czując dobrze, jakim paradoksem chce zaspokoić swego ducha. „Może to ulży,“ — lecz nie ulży.

I cichy, trawiący smutek, jak nicią pajęczą osnuwa dalej jego duszę: nie widać ani początku, ani końca tego smutku, a snuje się wciąż dalej i boli:

Il pleure dans mon coeur
Comme il pleut sur la ville,
Quelle est cette langueur
Qui pénètre mon coeur?

Il pleure sans raison
Dans ce coeur qui s'écoeure.
Quoi! nulle trahison?
Ce deuil est sans raison.

C'est bien la pire peine
De ne savoir pourquoi

— Ach Wiero i pani nie jest lepszą jak inne i pani jest laleczką salonową — powiedział z wyrzutem i wyszedł z pokoju.

Wiera została sama nieszczęśliwa, unicestwiona.

— Boże, jaki wstyd, jak można żyć po takiej hańbie.

To była pierwsza myśl z jaką się drugiego dnia przebudziła.

Jeszcze jest wcześnie, słyszy spokojne, równe oddechy sióstr. Obie wczoraj nic nie spostrzegły, niczego się nie domyśliły, ale co powiedzą, gdy usłyszą. Być cały miesiąc interesującą bohaterką romansu, aby naraz stanąć przed niem, jak głupia, zarozumiała dziewczyna.

— O jaki wstyd, jaki wstyd!

Ukryła głowę pod kołdrę i płakała rzewnie, gryząc zębami poduszkę, aby zdusić łkanie.

Lena odwróciła sie w łóżku. Siostry wstały.

— Ach, gdyby tylko nic nie spostrzegły!

Na myśl tę łzy jej oschły. Jakgdyby się nic nie stało, ubiera się, chodzi, rozmawia, śmieje się nawet, jakgdyby nic nie zaszło. Czasami udaje się jej rzeczywiście na chwilę zapomnieć, ale w sercu tkwi zawsze głuchy, natrętny ból tak świeży. Dzień przeznaczony na lekcye nadszedł.

— Co się teraz stanie — myśli Wiera i drży na myśl spotkania z Wasylcewem. Około 3-ciej nadbiegł chłopiec od niego z biletem usprawiedliwiającym, że nie przyjdzie na lekcyę, bo jest niezdrów.

— Dzięki Bogu, myśli Wiera.

Zaczęło się dla niej znowu jej dawne, nudne, próżniacze życie, jak było przed zaznajomieniem się z Wasylcewem. Biega znowu po wszystkich kątach i nie wie co z sobą począć, czego się jąć. Chociaż starała się to wszystko ukryć, siostry domyśliły się czegoś i prześladowały ją natrętnemi pytaniami. Wiera uciekła od nich.

Tak minął jeden tydzień i rozpoczął się drugi, Wasylcew nie zjawił się.

— On już nie przyjdzie nigdy — pomyślała Wiera, rozgoryczona i tęskna.

Jednego dnia siedziała w pustym pokoju sama i przerzucała obojętnie książkę dziesięć razy czytaną, gdy posłyszała w korytarzu kroki dobrze jej znane. Pierwszą jej myślą było porwać się i uciec, ale nim plan swój wykonać zdołała, już Wasylcew stał przed nią.

Był spokojny i łagodny, jak zawsze, jakgdyby się nic nadzwyczajnego nie wydarzyło.

A ona, ona nienawidziła go przeszłego tygodnia, teraz jednak poczuła wielką radość, zapierającą jej oddech. Doznawała wprawdzie także uczucia wstydu, ale radość przeważała.

— Wiero, moja mała przyjaciółko, tak nie może być dalej — powiedział, jak do dziecka głosem spokojnym i serdecznym — drobne nieporozumienie wkradło się między nas, nieprzyjemne, nieznośne nieporozumienie, ale teraz rozmówimy się jasno, zapomnimy o tem co było i będziemy znowu przyjaciółmi. Ja przecież mam czterdzieści trzy lata, jestem stary, trzy razy starszy niż pani; pani mogłabyś być córką moją, ale nie żoną. Zakochać się w tobie, byłoby z mej strony niety!ko głupotą, ale i podłością. Ja też, dzięki Bogu, nigdy o tem nie myślałem; polubiłem panią szczerze i prawdziwie. i pragnąłbym bardzo zrobić z pani dobrego człowieka. Przecież to tylko lalki salonowe wmawiają sobie, że mężczyzna nie może być ani przez pół godziny w ich towarzystwie, aby sobie głowy nie zawrócił, a pani nie jest laleczką — prawda.

Wiera stała milcząca, z głową pochylona, wielkie łzy drżały na jej długich rzęsach.

— Posłuchaj pani, moja droga, podaj mi pani rękę — dodał Stefan Michałowicz. — Ażeby dowieść jak cenię twoją przyjaźń powiem pani to, czego od wielu, wielu lat nikomu nie mówiłem. Raz w życiu kochałem rzeczywiście kobietę, lepszej, milszej nie spotkałem. Los jej był straszny. Było to zaraz po zamachu Karakozowa, wtedy więziono wielu; jedno nierozważne słowo wystarczyło, aby dostać się do twierdzy. I ją uwięziono. Więzienie było przepełnione i musiała sześć miesięcy przebyć w wilgotnem, ciemnem podziemiu, zalanem wodą, a była ona tak słabą i delikatną. Gdy nakoniec przyszła kolej na rozpatry-

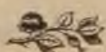
Sans amour et sans haine.
Mon coeur a tant de peine.

Paul Verlaine. Ariettes oubliées.

Ten bohater współczesny nie będzie mieć epigonów: sam jest ostatnim z nich. Myśl, która w tym samym kierunku dalej już pójść nie może, zwraca się w odwrotnym, tworzy antytezę. Bohater jutra będzie antytezą bohatera doby dzisiejszej: temu brakło woli, tamten będzie jej miał aż do zbytku, a duch kontrastu, który go rodzi, da mu wiarę w siebie, zamiast samoanalizy, — prostotę, zamiast wyrafinowania, tchnie w pierś jego nieposkromioną żądzę czynu, uzbroi dłoń w siłę olbrzyma, a serce w naiwność dziecka; uczyni go zdolnym zarówno do dzikiego szału jak do tkliwych wzruszeń. Imię tego nowego bohatera, który występuje teraz na widownię, jest — tłum. Tylko on potrafi tak czuć, tylko on łączy przymioty nowego bohatera w literaturze współczesnej, do niego też należy jutro. Wstępując na tron spotka się oko w oko z temi wybladłemi postaciami, co dziś jeszcze królują. One już mają słowa na ustach: *Ave Caesar, morituri te salutant*. Czekają tylko na przyjście nowego władzcy.

Berlin 1896.

Kazimierz Rakowski.



Piśmiennictwo peryodyczne.

(Czerwcowy zeszyt „Ateneum").

Czytelnik naszych pism peryodycznych, znudzony mnóstwem błahych drobiazgów szarego brukowego życia, albo obszernemi wywodami z dziedziny polityki egzotycznej, z przyjemnością weźmie do ręki czasopismo poważniejsze, redagowane według pewnego rozumnego planu, złożone z prac sumiennych, obrobionych staranniej, o tematach żywotnych i interesujących.

Oto leży przed nami czerwcowy zeszyt „Ateneum". Kilkanaście rozpraw, utworów i krytyk, a wśród nich nic, coby stanowiło jedynie balast przeznaczony do skompletowania przepisanej liczby szpalt. Przeczytać można wszystko, żadnego arkusza nie zostawia się nierozciętym. Po przeczytaniu pozostaje pewna suma wrażeń estetycznych, trochę nowych wiadomości, kilka myśli, które snuje się dalej...

Na wstępie piękny wierszowany obrazek A. Lange'go, stwierdzający na przykładzie słuszność gorących pochwał, oddawanych temu poecie w krytyce p. B. Lutomskiego, a zarazem obalający zarzut oderwania się poety „od interesów realnych i społecznych, od tego, czem ludzkość żyje najwięcej i co ją najwięcej boli". Treścią „Jędrka" jest myśl o ścisłem powiązaniu przyczyn i skutków w zakresie życia społecznego na całym obszarze cywilizowanego świata. Gdzieś na drugiej półkuli szarańcza zniszczyła plantacye bawełny i dlatego odprawiony z łódzkiej fabryki Jędrek przybył do Warszawy. Forma wiersza doskonała, przypomina pierwszorzędne wzory — treść odmalowana bardzo plastycznie, ale trochę za kusa. Wygląda to, jak gdyby tylko wstęp do obszerniejszego poematu.

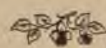
Dwie nowele: „Nad ranem" Jerzego Algosa i „W sobotę" Edwarda Maliszewskiego, dziwnym trafem mają rozwiązanie wielce podobne. W pierwszej — stara zapracowana służąca nagle traci wzrok, spada ze schodów do piwnicy i zabija się. W drugiej — majster ślusarski wraca do domu pijany, spada ze schodów i zabija się. W obu drobiazgach znać talent, ale młody, bo jeszcze nie oryginalny.

W artykule „Newroza i zbrodnia" dr. Juliusz Makarewicz rozbiera głośny proces galicyjskiego szarlatana - hypnotyzera Czyńskiego i charakteryzuje podsądnego, jako człowieka niemoralnego i zasługującego na karę, ale nie zbrodniarza. Był to, zdaniem dr. M., histeryk, osobnik anormalny, znajdujący się w stanie na pół patologicznym, wszakże poczytalny ze stanowiska odpowiedzialności karnej. Wyrok monachijskiego sądu przysięgłych, odrzucający oskarżenie o uwiedzenie baronówny Zedlitz i skazujący Czyńskiego jedynie za fałszerstwo aktu ślubnego, dr. M. uznaje za zupełnie sprawiedliwy i stara się go uzasadnić teoretycznie.

Oprócz wspomnianej już rzeczy p. Lutomskiego o poezyach Lange'go, mamy jeszcze trzy rozprawy literackie. Pan Edward Porębowicz doszukuje się, zkąd mógł się Słowackiemu nastręczyć pomysł do tragedyi „Beatrix Cenci". Źródło odnajduje się w ogłoszonej podówczas z archiwów watykańskich kronice krwawych dziejów rodziny Cenc'ich, oraz w tragedyi „Guido Reni" Bévauda i Bouilly'ego, granej w roku 1833 w „Théâtre Français". Dr. Ignacy Suesser, bezwzględny wielbiciel Ibsena, spiera się o charakterystykę norweżkiego dramaturga z autorem nowego o nim studyum, d-rem Ludomirem Germanem, oraz ze wszystkimi którzy u nas o Ibsenie pisali. Podług p. Suessera, Ibsen jest najwybitniejszym przedstawicielem kierunku „mieszczańskiego", który „poddaje gryzącej krytyce cały ustrój mieszczański", a ideały mieszczańskie „obnaża z kłamliwych obsłonek i ukazuje je we wstrętnej brzydocie". Ma więc właściwie ten „przedstawiciel mieszczańskiego kierunku", wedle p. Suessera, w krytyce swej pozory radykała, ale nie może przekroczyć granic, zakreślonych programem liberalizmu i dlatego z radykalizmu przerzuca się w beznadziejny pesymizm. Ale pesymizm ten, według zapewnienia dr. S., nie jest bynajmniej groźny. Bo to nie jest pesymizm filozoficzny, tylko „pesymizm oburzenia" na głupotę i nikczemności spółczesnego mieszczaństwa.

Zamiast „Kroniki miesięcznej" znajdujemy w zeszycie czerwcowym artykuł podznaczony dobrze znanemi inicyałami F. K., p. t. „Drażliwość literacka". Autor zabiera głos z powodu świeżych utyskiwań na upadek obyczajów dziennikarskich i sądzi, że powodem gorszących zajść jest przecenianie przez literatów i artystów samych siebie i swoich utworów, zkąd płynie nadmierna drażliwość. W razie przekroczenia przez krytyków lub polemistów granic dozwolonych, autor zaleca zwracanie się do sądów polubowych, a wreszcie zwyczajnych.

Ig.



---

wanie jej sprawy, wykazało się, że nie było żadnych dowodów przeciwko niej. Musiano ją uwolnić. Ale w tem strasznem podziemiu nabawiła się okropnej choroby, okropniejszej niema na świecie: dostała próchnienia kości. Przez trzy lata umierała powolną śmiercią. Ja nie odstępowałem jej, rozumie się, ani na krok, musiałem patrzeć, jak ta choroba strasznie ją zmieniła, jak rozkładała za życia z dniem każdym. Cierpienia jej były tak wielkie, że nawet ja, który ją kochałem nadewszystko w świecie, pragnąłem dla niej śmierci — jedynej wybawicielki. Teraz pojmiesz Wieroczko, że człowiek, który coś podobnego w życiu przeszedł, nie może uważać miłości za żart. Tak, zaprawdę, w kraju, w którym podobne rzeczy dziać się mogą, nie ma też człowiek prawa myśleć o osobistej miłości i osobistem szczęściu.

Głos Wasylcewa urwał się ze wzruszenia, Wiera płakała cicho i rzewnie.

Niedługo potem pokazał jej Wasylcew portret swojej byłej narzeczonej, jak wyglądała przed chorobą: piękna, inteligentna ciemna twarz z czarnemi, marzącemi oczyma. Wiera nie widziała nigdy w życiu piękniejszej twarzy; ze czcią przycisnęła usta do portretu i ze łzami w oczach powtórzyła ślub, uczyniony dawniej: zdobycia sobie korony męczeńskiej. Nie pójdzie po nią do Chin, teraz wie, że los ten przypada w udziale wielu ludziom w Rosyi.

Od owego dnia nie było żadnego nieporozumienia między Wierą i Wasylcewem, a przyjaźń ich była trwałą i silną.

VI.

Był koniec kwietnia. Wiosna w tym roku przyszła nagle. Gdy wody puściły i śnieg stopniał, długo jeszcze trwało zimno: wszystko rozwijało się powoli, leniwie, jakby niechętnie, krok naprzód, a dwa w tył. Zdawało się, jakgdyby trzeba prosić każdą trawkę, każdą roślinkę i namawiać, żeby się zdecydowały wreszcie otrząsnąć sen zimowy i wychylić z ziemi delikatne koniuszki listeczków. Prawdziwego wiosennego życia nie można było dostrzedz. Nagle spadł w nocy ciepły, ożywczy deszczyk i odtąd zmieniło się wszystko, jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Wszystko powstawało z pragnieniem życia, wszystko spieszyło, przygniatając się, popychając nawzajem, jakgdyby lękając się spóźnienia. Żadne stworzenie nie chciało ustąpić, wszystkie walczyły o swe prawa bytu.

Rano wstali mieszkańcy Barków i zdziwili się, co się zrobiło w jedną noc, nie poznać ani ogrodu, ani pól, ani lasów. Wczoraj wieczorem było to wszysto jeszcze czarne i gołe, teraz przyodziane delikatną zielenią, a powietrze jest dziś także inne, inaczej się niem oddycha. Dziś właśnie praca ta i gorączka wiosenna najwyższego dosięgnęły szczytu, brzozy pokryły się drobnemi listeczkami, przezroczystemi jak koronka. Wielkie pęki topoli pękając, odrzucają swoje lepkie, żywiczne osłony, napełniając powietrze orzeźwiającym zapachem. Żółty wonny pyłek kotków leszczyny i olszy zmieszany z białemi listeczkami czereśniowego i wiśniowego kwiecia unosi się w powietrzu. Na jodłach widać wielkie, jasne szpilki, stojące prosto jak świece, a pod niemi stare przeszłoroczne igliwie, tylko dąb stoi nagi i ponury, jakgdyby dla niego wiosna nie nadeszła. Z południa przylatują każdego dnia nowi goście, już przed tygodniem zarysował się na niebie pierwszy trójkątny klucz żórawi. Dzięcioł uderza dziobem w pusty pień starego buku, jaskółki latają pod balkonem, szukając swych starych gniazd i prowadzą zaciętą walkę z wróblami, które je sobie w zimie przywłaszczyły. Z ziemi podnoszą się ciepłe opary, zdaje się, że wyczuć można, jak tam pod ziemią dokonywa się tajemnicza praca. Nie można zrobić kroku, by nie stąpić na kiełek nowego życia: grzyba, ździebełka trawy lub owadu. W strumieniu odbywają się gorące oświadczyny i sceny miłosne, każde bagno roi się od miliardów przeróżnych form istnienia, a wszystko to porusza się, wszystko to przejęte jest przeświadczeniem o ważności swego własnego „ja."

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Goplana.

Znakomity muzyk polski, Zygmunt Noskowski, który jak wiadomo umyślnie przybył do Krakowa na premierę „Goplany“ Żeleńskiego, zamieszcza w „Kuryerze warszawskim“ taką charakterystykę tej opery, zaznaczywszy poprzednio, że akcya libretta zgodnie jest przeprowadzona z akcyą „Balladyny“ Słowackiego.

„Działalność Goplany — pisze Noskowski — i jej dla Grabca miłość pośrednio tylko wpływają na bieg akcyi, ale za to opera świetnie się rozpoczyna tajemniczą sceną, oświetloną blaskiem księżyca, przy którego promieniach zgromadzone nad brzegiem jeziora duchy wodne poetyczny śpiew zawodzą.

Ukazuje się niebawem Goplana, aby oczekiwać na przybycie ukochanego Grabca. Charakterystyczna piosnka jego zyska na powodzeniu, skoro będzie śpiewaną na scenie, czego zapewnie przy dalszych przedstawieniach autor nie omieszka uczynić.

Bardzo charakterystycznem jest wejście orszaku Kirkora w tempie marszowem. Romans o jaskółce podobał się ogólnie, choć p. Sienkiewicz, wykonawca partyi Kirkora, nie bardzo umiejętnie włada głosem. Ukazaniu się wdowy z córkami towarzyszy śliczna melodya o nastroju ludowym. Akt pierwszy kończy się bardzo efektownie śpiewem Aliny. która pozostawszy sama na scenie, oddaje się tęsknemu marzeniu o pięknym rycerzu. Jest to ustęp wysoce poetyczny, który zjednał wykonawczyni (pannie Kruszelnickiej) sute oklaski i był powodem wspaniałej dla Żeleńskiego owacyi, zakończonej tuszem orkiestry i wręczeniem mistrzowi kilkunastu wieńców i bukietów.

Akt drugi od początku do końca jest znakomity. Przemianie Grabca w wierzbę śliczna towarzyszy przygrywka orkiestrowa i chór niewidzialnych duchów. Scena ta ma urok niepospolity i odrębny...

Następuje potem korona opery: duet między siostrami, z których jedna nuci wesołą piosenkę, gdyż ma już dzban pełny, druga zaś w ponurych zwrotach opowiada, iż widzi maliny czerwone jak krew.

Przeciwstawienie liryzmu z dramatycznością jest w tej scenie wybornie oddane. O ile Aliny postać pociąga do siebie urokiem i jasnemi blaski, o tyle jej siostra budzi grozę. Następuje zabójstwo, winowajczyni ucieka, scenę zasłania obłok i orkiestra rozpoczyna prześliczne Intermezzo, w którem nader trafnie użyty rożek angielski tęskną wygrywa melodyę przy towarzyszeniu figury skrzypcowej.

Scena się przemienia. Do oczekującej przed chatą wdowy wraca z dzbanem siostrobójczyni, oznajmiając, iż Alina nie wróci, gdyż uciekła... z Grabcem. Matka przeklina ją w nieświadomości, poczem przybywa orszak weselny i bardzo udatny chór na tle basu kobzowego kończy ten znakomity akt.

W trzeciej odsłonie rzecz się odgrywa na zamku Kirkora, którego niema, gdyż musiał udać się na wyprawę wojenną. Małżonka jego siedzi zagłębiona w ponurych myślach. Szczęścia nie znalazła, gdyż męża nie kocha, a widząc, że Kostryn, jego namiestnik, pała ku niej namiętną miłością, sidła go, aby zeń uczynić niewolnika, narzędzie do wykonywania jej planów, równie zbrodniczych, jak zabójstwo siostry. Ustępy te pod względem muzycznym są świetnie opracowane, ale siłą dramatyczną nie dorównywają aktowi drugiemu.

To samo muszę powiedzieć o następującym potem duecie między wdową i jej córką. Okresy melodyjne w tej scenie nie są dość zaokrąglone, rwą się co chwila i dlatego obraz ten cały cokolwiek mniejsze uczynił wrażenie.

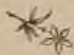
Następuje potem obraz uczty. Na zamek przybył Grabiec, przemieniony znowu z wierzby na księcia, który zamiast berła dzierży w ręku prostą fujarkę: na której każe grać swym towarzyszom: Skierce i Chochlikowi.

Przy towarzyszeniu ślicznej przegrywki fletowej śpiewa Chochlik piosenkę o malinach a kończy ją Grabiec, oznajmiając, że był świadkiem — niemym jako wierzba — straszliwego czynu. Na te słowa Kostryn, na rozkaz swej pani, wlewa truciznę do puhara Grabca i nuci piosenkę „brindisi“, wnosząc zdrowie gościa.

Grabiec wychyla puchar i niebawem pada martwy. W tej chwili zjawia się Kirkor, który wrócił właśnie z wyprawy i z oburzeniem dowiaduje się o zbrodni. W górze ukazuje się Goplana, która mszcząc się za otrucie Grabca, piorunem zabija winowajczynię.

Ostatnia scena jest stanowczo za długa, zwłaszcza że i wdowa wbiega na scenę, opowiadając w urywanych słowach o wypędzeniu jej przez córkę. Słuchacz za długo oczekuje na katastrofę i dlatego jestem pewny, iż dla dobra całości ustęp ten skrócić należy.

Instrumentacya „Goplany“ jest wyborną, w wielu miejscach świetną. Widać tu rękę doświadczonego mistrza, zarówno w użyciu mas jak i oddzielnych instrumentów.“





Kronika Warszawska.

Warszawa, 27 lipca 2796.

(List margrabiego. — Dymisya Brocka. — Żandarmi. — Cenzura. — Sprawy miejscowe — Teatr.)

Margrabia Zygmunt Wielopolski od dość dawna nie szczędzi starań, aby w społeczeństwie naszem zająć górujące stanowisko. Znane są pomiędzy innemi jego uwieńczone kompletnem fiaskiem zabiegi o godność prezesa komitetu głównego w tutejszem Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem. Ponieważ zaś do takiej roli nie uprawniają go własne moralne i umysłowe kwalifikacye, przeto zwyczajem małych synów wielkich ojców powołuje się przy każdej stosownej i niestosownej okoliczności na zresztą dość wątpliwej natury zasługi „wielkiego“ margrabiego Aleksandra Wielopolskiego. Tym razem posłużył mu zamieszczony w petersburskim „Kraju“ nekrolog Aleksandra Ostrowskiego, jednego z głównych przywódców stronnictwa tak zw. białych w r. 1863, do napisania listu otwartego, w którym z imponującym cynizmem napada na twórców ostatniego powstania, podsuwając im najhaniebniejsze motywa i zarzucając najpotworniejsze zbrodnie. List ten, który się pojawił w „Kraju“ przedrukowały naturalnie bez wszelkich komentarzy wszystkie prawie pisma tutejsze. Paszkwil ten margrabiego na bądź co bądź nie pozbawiony pewnej wielkości r. 1863 pozostanie bez odpowiedzi. Postara się o to cenzura. Pośrednio co prawda, odpowiedziało już całe tutejsze społeczeństwo, potępiając bez wszelkich zastrzeżeń nędzną tę elukubracyę i nie podziwiając odwagi cywilnej margrabiego, lecz zdumiewając się nad jego bezczelnością. W rzeczy też samej dotychczas jeszcze grunt tutejszy nie jest przygotowany do tego rodzaju wystepów i społeczeństwo nasze nie dość jeszcze upadło, aby przyjmować bez oporu bezczeszczenie swoich ideałów.

Daleko jednak ważniejszym wypadkiem, niż niefortunny występ publicystyczny margrabiego Wielopolskiego, jest dymisya jenerała Brocka i połączone z nią zniesienie warszawskiego okręgu żandarmskiego. Któżby z mieszkańców „prywiślańskiego“ kraju nie znał żandarmów. Sama już ta nazwa budzi w najwyższych i najniższych, winnych i niewinnych pewien dreszcz trwogi. Podziemne cele cytadeli warszawskiej i lodowate pola Syberyi przepełnione są śladami działalności żandarmów w naszym kraju. Organizacya żandarmów w państwie Rosyjskiem z wielu względów przypomina regułę, jaką słusznie czy niesłusznie przypisują zakonowi Jezuitów. Żandarm nie zna, a przynajmniej znać nie powinien ani ojca ani matki, ani przyjaciela, ani kochanki. Wszystkie jego myśli, pragnienia i dążenia wypełniać powinna służba cara, niestrudzone i nieubłagane tropienie wszystkich tych, którzy w ten lub ów sposób buntują się, lub buntować by się mogli przeciwko wszechwładnej potędze cara. Psy te gończe, rekrutujące się z najdodatniejszych pod pewnym względem żywiołów społeczeństwa rosyjskiego, wyposażone są w wyjątkowo obszerne przywileje i atrybucye. Pomiędzy innemi wolno prostemu żandarmowi, którego zresztą podług dość utartego mniemania trudniej przekupić niż gubernatora, pisywać wprost do Petersburga do najwyższych nawet urzędników państwa, z pominięciem wszystkich pośrednich instancyi. Naczelnik zaś korpusu żandarmskiego odnosi się we wszelkich ważniejszych kwestyach, nie zasięgając rady ani wskazówek jeneral-gubernatora, bezpośrednio do swego najwyższego zwierzchnika, ministra spraw wewnętrznych, a niekiedy i wprost do cara.

Otóż obecnie skończyło się, przynajmniej w Królestwie Polskiem, to wszechwładne panowanie żandarmów. Naczelnik warszawskiego korpusu żandarmskiego, jenerał Brock, swoją drogą uczciwy, choć surowy urzędnik, poszedł w „duraki“. Sama posada naczelnika została zwinięta, a korpus żandarmów poddany pod rozkazy jenerał-gubernatora. Zdawać by się mogło, że wiadomość o tej zmianie powita całe tutejsze społeczeństwo z uczuciem ulgi i zadowolenia. Stało się jednak wręcz przeciwnie; dziwić się temu trudno. Bo jeżeli naczelnik żandarmów w Królestwie Polskiem był srogim gnębicielem wszystkich rzeczywistych, a często nawet domniemywanych tylko przestępców politycznych, to z drugiej strony mógł także uchodzić za pewien rodzaj bóstwa opiekuńczego. Służąc wiernie carowi, nie pozwolił dyskredytować jego imienia czynami zbyt jaskrawej samowoli lub zbyt rażącemi nadużyciami. Podobno za rządów Hurki niejednokrotnie oparł się skutecznie despotycznym zapędom wielkorządzcy. Działalność ta obrończa mogła być tem skuteczniejszą, ze przed szefem korpusu żandarmskiego, wyposażonym w nieograniczoną władzę denuncyowania, drżeli wszyscy, choćby najwyżsi czynownicy. Obecnie władza, którą dzierżył dotychczas naczelnik żandarmów, przechodzi w ręce jenerał-gubernatora, pozbywającego się w ten sposób niewygodnego współzawodnika, a niekiedy niebezpiecznego kontrolera swych czynności.

A teraz cokolwiek weselszego! Nasi optymiści upatrują zmianę ku lepszemu w naszych stosunkach w rzekomem złagodnieniu cenzury. Najlepiej ilustruje to złagodnienie następujący przykład. Jedno z tutejszych pism humorystycznych sparafrazo-

wało i zastosowało do teatru łódzkiego znaną bajkę Jachowicza: „Dała mi złotówkę mama itd.“ Dzięki energii i inteligencyi cenzora p. Iwanowskiego, cenzurującego, nawiasem mówiąc, obok humorystyki także utwory dramatyczne, a trzymającego się przepisu, że nie wolno używać w druku nazw dawnych monet polskich, parafraza ta pojawiła się w ostatnim numerze „Kuryera Świątecznego“ w następującej postaci:

„Dała mi piętnaście kopiejek mama
Bym zobaczył panorama,
Co się zowie Buberokokiem,
A w tem starzec idzie bokiem,
Tak mi się go żal zrobiło,
Że choć nowość widzieć miło,
Wyrzekłem się jej dla cnoty,
I dałem starcowi piętnaście kopiejek.“

Za to ośmieszenie tak poważnej istytucyi jak cenzura, otrzymał p. Jwanowski potężnego nosa od prezesa komitetu cenzury p. Jankulii, wątpić jednak należy, aby to zapobiegło skutecznie powtarzaniu się tego rodzaju przykładów przemyślności cenzorskiej, pojawiających się co chwila.

Ze spraw miejscowych zasługuje na zaznaczenie ostateczne rozstrzygnięcie sprawy szpitala Dzieciątka Jezus. Umowa zawarta z konsorcyum francuzkich kapitalistów została cofnięta i magistrat warszawski zajmie się sam budową nowego szpitala na tak zw. folwarku Świętokrzyskim wraz z sprzedażą placu, na którym stoi obecnie gmach szpitalny. Odzywają się wprawdzie głosy, domagające się urządzenia na placu poszpitalnym ogrodu publicznego, w obec jednak olbrzymich ofiar, jakieby miasto na cel ten ponieść musiało, głosy te pozostaną prawdopodobnie głosami wołających na puszczy.

Zatrąciłem o puszczę. W miejscowości Puszcza (gub. Warszawska) znajduje się, jak wiadomo, zakład wychowawczy dla moralnie zaniedbanych dziewcząt, pozostający pod zarządem Towarzystwa osad rolnych. Otóż w zakładzie tym dzieją się podobno skandaliczne historye, a mianowicie dozorczyni zakładu utrzymuje stosunek miłosny z dyrektorem Towarzystwa osad rolnych b. profesorem uniwersytetu prof. Miklaszewskim. Oczywiście, że romans ten był dla niektórych pism tutejszych „robiących w moralności“, jak to u was mówią, „ein gefundenes Fressen“. Rozdęto sprawę tę do niemożliwych rozmiarów, a pogorszyło ją jeszcze trzymane w stylu ukazów carskich sprostowanie zarządu Osad rolnych, zaprzeczające gołosłownie i z przekraczającą wszelką miarę arogancyą zarzutom stawianym zarządowi Puszczy. Ostatecznym wynikiem tego zatargu Osad z prasą było wmięszanie się w tę sprawę Apuchtina, który zmienić kazał dotychczasową polską korespondencyę wewnętrzną zarządu Osad rolnych na rosyjską. *Duo litigantibus tertius gaudet.*

W teatrach tutejszych, oczywiście ogródkowych, pojawiły się w ostatnich czasach dwie ciekawe, choć odmienne zupełnie nowości. W Bellevue odegrano pełną niewymuszonego dowcipu i werwy komedyę Ruszkowskiego p. t. „Jadzia wdową“. Wodewil zaś wystawił napisany z niezaprzeczonym talentem, lecz rażący zbyt chorobliwym nastrojem pierwszy utwór sceniczny młodego autora hr. Bohdana Jaksy-Ronikiera p. t. „Nieszczęśliwi“. O utworze tym, zdaniem mojem przecenionym przez tutejszą krytykę, napiszę w następnym liście obszerniej.

X. Z.

Kronika Wiedeńska.

25 lipca 1896.

(Strejk pod przewodnictwem żydów. — Arbeiter Zeitung. — Wyprowadzka „suszycieli“. — Konsekwencya antysemitów. — Rettungsgesellschaft).

W tych dniach zakończył się wielki strejk robotników fabrycznyzh w Neukirchen, trwający przeszło pięć tygodni! Ile pieniędzy stracili przez ten czas robotnicy, których było dziewięć tysięcy, ile rodzin straciło byt swój i zarobek, o tem milczą uparcie wszystkie socyalistyczne pisma! Strejk ten spowodowało główuie grono żydów pracujących w „Arbeiter Zeitung“ i urządzających na gwałt i na oślep bezrobocie, aby się wydostać na widownię w roli prowodyrów i mieć widoki zdobycia mandatów przy nowych wyborach do Rady Państwa. Do takich należy świeżo upieczony prowodyr dr. Berstl. Młody adwokat, o którym nikt nic nie wiedział, raptem zapisuje się w kadry socyalistyczne, zaczyna buntować robotników, przeszkadzać w zgodzie z pracodawcami i niedopuszczać do zakończenia strejku. We wszystkich pismach codziennie się czytało: dr. Berstl to mówił, albo to, — i przez parę tygodni wyrósł on na „capacität“! „Arbeiter Zeitung“ wiedeńską redagują sami żydzi-socyaliści i sami zbankrutowani lub niedoszli adwokaci. Połowa ich — to nasi współziomkowie mojżeszowego wyznania z Galicyi. Sami genialni ludzie. Szef-redaktor dr. Adler, ochrzcony, szwagier Hofrata Halbana (dawniej Blumenstoka) dyrektora kancelaryi austryackiego Parlamentu i maklera rządowego w załatwianiu wszelkich głosowań po. słów na korzyść kwestyi rządowych. Szwagrowie ci bardzo się niekochają, jeden bowiem pracuje w radykalizmie, drugi w konserwatyzmie, obadwaj jednak rzadkich i wyjątkowych zdolności. Jest potem dr. Ellenbogen adw., dr. Ornstein dto, Ingwer, dr. Berstl, dr. Diamand ze Lwowa i cała falanga młodych doktorów żyjących nadzieją posłowania z piątej kuryi wyborczej. Wszystko to żyje z głupiego chrześcianina, który jest robotnikiem, umie pracować i głodzić się, a nieumiejąc samodzielnie zabrać się do rzeczy, pozwala na swoich barkach wyłazić w górę osobistościom, którzy sztukę wyzyskiwania praktykują w przeróżne sposoby.

Do takich sposobów należy i tak zwane „osuszanie mieszkań“ w Wiedniu. Po zrobieniu z Wiednia „Gross-Wien“, to znaczy przyłączeniu kilku dotykających do rogatek przedmieść, miasteczek i wsi granicznych, np. „Kahlenbergerdorf“, oraz celem regulacyi samego miasta, wyznaczył rząd 20 lat wolnych od podatków dla nowo budujących się domów. Naturalnie wszyscy spekulanci żydowscy rzucili się do tej roboty. W przeciągu pięciu miesięcy buduje się kamienicę wysokości sześciu piętr, a budując parter, już wynajmuje się mieszkania. Komisya przez budującego spekulanta skaptowana, pozwala w tydzień po wykończeniu domu na jego zamieszkanie. Mieszkania daje właściciel bardzo tanio, aby je zaludnić i „wysuszyć“. W pierwszym kwartale zwykle spekulant dom dobrze sprzedaje, a nowonabywca, niezadowolony z niskich czynszów, lokatorom wymawia, i w następnym kwartale „suszyciele“, spełniwszy swój obowiązek, bywają wyrzucani, aby ponownie wprowadzić się do mokrego mieszkania. Choroby panujące między tymi ludźmi są okropne, a dzieci wszystkie krzywe i połamane. To też czasami policya się mięsza w tę sprawę, wpada z komisyą budowlaną i sanitarną do takich mieszkań, robi awanturę i... wyrzuca w przeciągu 24 godzin wszystkie familie na ulicę!...

Nowa antysemicka Rada miejska postępuje z żelazną konsekwencyą w dokumentowaniu swojej siły. Żadnego żyda nie potwierdziła na stanowisku nauczyciela szkół miejskich. „Towarzystwu oświaty ludowej“ odmówiła dotąd udzielanej subwencyi w kwocie 500 guldenów rocznie dlatego, bo w radzie zasiada dwóch żydów. Obecnie skompromitowała się nawet uchwałą wydaną na prośbę „Towarzystwa ratunkowego“ o pomoc. Uchwalono bowiem dać 5000 guld. na fundusz budowy własnego domu i 10.000 rocznego wsparcia, ale postawiono warunek, aby Rada miejska miała prawo zmienić statuty, i otrzymać przywilej kierowania wyborami do wydziału. Każdy wie aż za dobrze, czem dla Wiednia i jego mieszkańców jest „Rettungsgesellschaft“ i jak chętnie spieszy ono z pomocą każdemu i w każdej porze dnia i nocy bez względu na subwencye miejskiej. Obecna Rada, idąc konsekwentnie, chce się zemścić na Towarzystwie za to, że należą do niego żydzi; zemsta ta oczywiście w tym wypadku źle jest zastósowaną.

Lueger rządzący wszystkiem daje teraz nagrody swoim wiernym. Niejaki von Pacher nagrody takiej nie otrzymał, ani jako płatny wiceprezydent, ani jako dyrektor magistratu, wściekły więc na Luegera wystąpił dzisiaj z Rady miejskiej, zaznaczając w pismach, że wkrótce powody swego wystąpienia ogłosi. Von Pacher wybrany był w dzielnicy Leopoldstadt, zamieszkałej przez żydów, i sztucznie tylko jako antysemita wszedł do Rady. Na litość więc ze strony żydów liczyć nie może.

Xi.

TO I OWO.

Wspomnienia pośmiertne.

W ubiegłą sobotę rozstał się z tym światem po długiej i ciężkiej chorobie redaktor „Wielkopolanina“, ś. p. Juljan Bukowiecki. Zmarły poświęcił się zawodowi dziennikarskiemu dopiero w ostatnich kilkunastu latach życia swojego, gdy szereg niepowodzeń materyalnych pozbawił go pięknych i obszernych włości. Zanim jednak pług na pióro zamienił, niósł wszystko, co posiadał: pracę swoją, wiedzę i majątek, ojczyźnie w ofierze. Trudno zaprzeczyć, że ta gorączkowa miłość dla sprawy publicznej, to stałe podporządkowanie własnych interesów interesom kraju przyczyniło się poniekąd do jego ruiny materyalnej, ale tylko głos oschłego utylitaryzmu urągać może tym, co kochali za wiele. Sp. Juljan Bukowiecki był na wskroś szlachetną naturą o silnie lirycznym podkładzie i charakter ten udzielił się także pismu, którem czas dłuższy kierował. Wielkopolanin nie zawsze należycie oceniał ewolucyę stosunków społecznych i wynikające z niej dążenia, prądy i hasła, a poglądy jego na lud zdradzały wybitne piętno patryarchalności; zmarły redaktor nie manifestował jednak tak silnie zaakcentowanych dążeń partyjnych, jak je obecna energiczna i ruchliwa redakcya „Wielkopolanina“ objawia.

S. p. Juljan Bukowiecki należał do naszych zdecydowanych przeciwników politycznych, — nad mogiłą jego jednak stajemy z prawdziwym żalem, bo kryje ona człowieka, którego motywy zawsze były czyste i który „kochał Polskę nie połową, ale całą duszą“.

Niemal równocześnie z redaktorem Wielkopolanina położył się do grobu jeden z najwybitniejszych przemysłowców poznańskich ś. p. Bolesław Leitgeber. W przeciwieństwie do Juljana Bukowieckie-

go była to natura trzeźwa, pozbawiona wszelkich pierwiastków sentymentalizmu, bardzo czynna i bardzo praktyczna. Z małych początków wyrosła fortuna jego. Sprytem, niezmordowaną pracą i niezwykłą znajomością zawodu wznosił się wyżej i wyżej, tak, że firma jego w krótkim przeciągu czasu zajęła królujące stanowisko w kupiectwie poznańskiem. A firmie tej nietylko złoto i sumienność zawodowa udzielały blasku, lecz poczucie obywatelskich i narodowych obowiązków, którem właściciel jej zawsze się odznaczał. Sp. Bolesław Leitgeber nie zasklepiał się w ciasnych granicach kupieckich interesów, lecz służył pracą swoją uczciwie ojczyźnie i miastu rodzinnemu. Zrozumiawszy mianowicie znaczenie przemysłu dla materyalnie wycieńczonego społeczeństwa, rozwinął energiczną i ofiarną działalność, by wychować w tej właśnie dziedzinie dzielnych pracowników, a życie jego stało się dla przyszłych generacyi cenną wskazówką, jak łączyć obowiązki zawodu z obowiązkami wobec ojczyzny. Może kupcowi niemieckiemu wolno być tylko kramarzem, — kupiec polski winien być także żołnierzem i sługą narodu.

* * *

Walka z nauką.

Wychodzi we Lwowie ciekawe czasopismo p. t. „Gazeta kościelna.“ W jednym z ostatnich numerów znajdujemy artykulik, poświęcony „krytycznej“ (sic) ocenie lwowskiego towarzystwa etnograficznego i jego świetnie redagowanego organu p. t. „Lud“. Ocena ta jest w swoim rodzaju czemś tak niesłychanem, czemś na schyłku XIX wieku tak zdumiewającem, że jako pierwszorzędną osobliwość podajemy ją in extenso czytelnikom naszym. Artykuł zatytułowany: „Z prasy peryodycznej“ brzmi:

—

„Zdarza się nieraz, że przyjaciel serdeczny przez niezaradność lub brak przezorności wyrządzi nam prawdziwie „niedźwiedzią przysługę“. Świeżo powtórzyło się to we Lwowie. Profesor uniwersytetu, dr. Antoni Kalina, który niejednokrotnie występował jako wierzący katolik i żywy bierze udział w ruchu katolickim naszego miasta, założył przed rokiem Towarzystwo ludoznawcze z organem p. t. „Lud“. Już w samym początku dziwnie złożyło się, że między członkami znaleźli się obok księży i ludzi wierzących, znani ze swej ruchliwości niedowiarkowie i radykali. Milczeliśmy, bo cel Towarzystwa był nam sympatyczny, a przytem redaktor „Ludu“ przedstawiał pewne rękojmie. Tymczasem Towarzystwo i organ jego, zamiast zaznajamiać nas z ludem polskim, jak to było jego celem, poszło śladem niemieckich folklorystów i zajmuje się w znacznej części stanem człowieka w epoce dzikości; z widocznem upodobaniem traktuje rozmaite możliwe i niemożliwe formy pożycia małżeńskiego u ludów pierwotnych; w sprawozdaniach z dzieł niemieckich podaje rozmaite poglądy i teorye, oparte przeważnie na tem (mylnem) przypuszczeniu, że pierwotny stan ludzkości był stanem dzikim; chce w nas wmówić, że człowiek ze zwierzęcia doszedł do stanu cywilizowanego; z lubością chwyta każdy objaw kazirodztwa, spotykany u ludu, na poparcie teoryi o pierwotnej wspólności żon, (chociaż objawy te niczego więcej nie dowodzą, jak zepsutej natury, która w najbliższem otoczeniu szuka zaspokojenia swej chuci). Lektura, przyzna to każdy ani miła, ani budująca, jeżeli zważymy pospolitego czytelnika. Zapewne są między członkami Towarzystwa tacy, którym podobne artykuły już nic a nic nie zaszkodzą, ale Towarzystwo szczególnie poluje na ludowych nauczycieli(?), poczyniło im wielkie ułatwienia i dosyć ich przyciągnęło. Dla nauczycieli zwłaszcza młodszych, bo starsi zapewne się z tego śmieją, lektura ta co najmniej niestosowna. Łatwo też „Lud“ z rąk nauczyciela może dostać się do ludowej czytelni, a tam będzie wprost zgorszeniem.

Dość wziąć ostatni numer wydawnictwa (tom II. zeszyt 2), aby się przekonać, że nie mamy już czego zazdrościć Niemcom i Francuzom, budującym świat i ludzkość bez Boga. Artykuł wstępny pod tytułem: „Jus primae noctis“ zawiera wiele kwiatów, którychby się nie powstydził największy libertyn i cynik. Dalej idą artykuły obojętne, a nawet pożyteczne np. o zniemczeniu Szląska. Na zakończenie podaje autor sprawozdanie z odczytu profesora Dybowskiego na zgromadzeniu miesięcznem. *Schöne Geister finden sich.* Przyrodnik na zebraniu ludoznawczem rozwiązał (tak się przynajmniej jemu i Redakcyi „Ludu“ zdawało) kwestyę kobiecą i to — na podstawie biologii, sprowadzając ją do samczości i samiczości. „Na podstawie — powiada — badań nad rozwojem rodowo-organicznym samczości i samiczości przychodzimy do przekonania, że... indywidua żeńskie i męskie powstały z istot bezpłciowych, a te zamieniły się kolejno w organizmy hermafrodytyczne i że z zaniku jednej strony płciowości w istotach dwupłciowych powstały tak zwane osobniki jednopłciowe. Tak pojęta istota osobników jednopłciowych każe ją uznać za indywidualność skryto-hermafrodytyczną... Celem odrodzenia społeczeństw, wykolejonych skutkiem barbarzyńskich przesądów i wierzeń i degradacyi kobiecości, powinno być podniesienie poziomu godności istoty kobiecej, nadanie praw równych wszystkim istotom normalnym ludzkim i świadoma swoich celów i środków, racyonalna, bo według zasad biologicznych prowadzona kultura społeczeństw w duchu braterstwa, zgody i altruizmu“. (Str. 191). Oszczędzając naszych czytelników, poprzestajemy na tych wyjątkach. Dostatecznie one cechują i mówcę i pismo, które jego rzekome naukowe teorye, a raczej mrzonki, umieściło w swych łamach. Nie dziwimy się p. Dybowskiemu; nie po raz pierwszy składa on dowody swej niewiary. Wszak przed paru laty podobne bezeceństwa rzucił w oczy arcybiskupom na uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego. Dziwimy się jednak redakcyi. Dwojakiego rodzaju niedowiarkowie bywają. Jedni chowają swoje przekonania dla siebie i z tymi w sprawach obojętnych możnaby się zgodzić; inni występują jako apostołowie niedowiarstwa i takich właśnie pochwytał p. Kalina do swego Towarzystwa. Oczywiście nie może być tam miejsca dla księży i uczciwych chrześcian. Czy w tem Towarzystwie jest jeszcze miejsce dla p. Kaliny, niech się zapyta swego sumienia“.

—

Tyle „Gazeta kościelna“. Ten głos średniowieczczyzny nie potrzebuje żadnych komentarzy. Sama publikacya wystarcza, aby zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, grożące z wiadomej strony zdobyczom humanitarnym wieku naszego i tej potokami krwi i łez, na stosach i na torturach okupionej swobodzie nauki, z której tak dumni jesteśmy.

* * *

Z stowarzyszenia pomocy naukowej dla Polek im. J. I. Kraszewskiego.

Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy pismo następujące:

Dnia 20 czerwca b. r. odbyło się posiedzenie kwartalne wydziału stowarzyszenia Kraszewskiego. Na konkurs ogłoszony przez stowarzyszenie w dniu 15 maja nadesłano 8 podań od studentek uniwersytetów w Paryżu, Genewie i Lille. Stosownie do brzmienia konkursu były do rozporządzenia tylko dwa stypendya, które też przyznano zeszłorocznym stypendystkom, a mianowicie p. M. K. licencyatce nauk matematyczno-fizycznych fakultatu paryskiego, jako pomoc do napisania rozprawy doktorskiej, oraz p. T. C. studentce 4-go roku medycyny w Paryżu. — Nadto przyznano nadzwyczajną zapomogę w kwocie 150 złr. p. H. S., słuchaczce 4-go roku medycyny w Genewie. 5 podań musiano niestety odrzucić, a to jedynie dla braku funduszów.

Co do jednej petentki wydział postanowił czynić wszelkie możliwe usiłowania, aby żądania jej uwzględnić. Chodzi tu bowiem o przyszłą hospitantkę uniwersytetu Jagiellońskiego, a pomoc osobom studyującym w kraju leży na pierwszym planie działalności stowarzyszenia. Dla tego też dano petentce odpowiedź warunkową, że o ile Senat uniwersytetu Jagiel. na hospitentkę ją przyjmie, o tyle Stowarzyszenie wypłacać jej będzie miesięcznie wedle możności 10—15 złr. Ponieważ w chwili obecnej sprawa przyjęcia do Uniwersytetu została załatwioną przychylnie, wydział musi zobowiązania dotrzymać i dla tego zwraca się do ogółu, żeby bądź to drogą jednorazowych datków, bądź to zapisywaniem się na członków Stowarzyszenia kasę tegoż zasilić zechciał.

Wydział nie ustanie w pracy, dopóki choć połowa odrzuconych na razie podań nie zostanie załatwioną przychylnie. Prawie wszystkie petentki są to osoby kończące studya, zmuszone obok pracy nad nauką ciężko zarabiać na utrzymanie. Każdy pojmie, jak utrudnione są studya w tych warunkach, szczególniej na obczyźnie. Dla tego też jak najgoręcej polecamy sprawę naszych odrzuconych uwadze ogółu, a w szczególności sióstr-polek.

W dalszym ciągu uchwalono, żeby Stowarzyszenie przystąpiło jako członek założyciel z wkładką 100 złr. do „Towarzystwa szkoły gimnazyalnej żeńskiej.“

Z kolei rozpatrzono wnioski komisyi dochodowej i uchwalono urządzić w jesieni b. r. seryę odczytów a jako prelegentki postanowiono uprosić kobiety-polki posiadające stopień naukowy i poświęcające się naukowej pracy. Postanowiono rozesłać odpowiednie zaproszenia. Dotychczas mamy już obiecane dwa odczyty. Doktór Teodora Krajewska z Dolnej Tuzli w Bośnii obiecała dać sprawozdanie z praktyki swojej wśród bośniaków i Dr. Zofia Daszyńska, docentka akademii Humboldta w Berlinie, przyrzekła odczyt „o ekonomii.“

Nadto uchwalono prosić prof. Cybulskiego, aby podczas wakacyi wygłosił odczyt w Zakopanem, na co tenże łaskawie się zgodził i zapowiedział wykład na pierwszą połowę sierpnia.

* * *

Wyznanie fakirów i nasza łatwowierność.

Zdemaskowani w Peszcie fakirzy wyznali ze skruchą całą prawdę sprawozdawcy „Budapester Tageblatt“ który opisuje w tymże dzienniku swoją u nich wizytę. Mieszkają oni w małym pokoiku o jednem oknie od podwórza, na drugiem piętrze, przy ulicy Kmetty. W tym pokoiku znajdowały się cztery osoby. Zdemaskowany fakir, Bheema Sena Propata, leżał wygodnie, w swym kostiumie na kanapie, i gdy dziennikarz wszedł, czytał coś ze śmiechem swoim towarzyszom z jakiejś gazety indyjsko-angielskiej. Drugi fakir, Rama Chandra, właściwy ich zwierzchnik, siedział, paląc papierosa, przy stole. Opócz tego był jeszcze obecny zaufany sługący, oraz szwagier byłego impresarya „dr.“ Fricker, jegomość również wtajemniczony.

Trzeci fakir, Gopal Krishna, był chwilowo na mieście. Rama Chandra oświadczył odrazu gotowość do wszelkich wyjaśnień. Na zapytanie, czy i fakirzy w Indyach grają tylko tę rolę, odpowiedział, że większa ich część to kuglarze: są wprawdzie fanatycy, członkowie sekty religijnej, którzy biorą swój zawód na seryo, ale to wyjątki, a nawet i ich sztuki są w większej części humbugiem. Nawet słynni, chowani żywcem fakirzy, o których z takiem zdumieniem opowiadają Europejczycy, którzy byli w Indyach — dopuszczają się oszustwa. Przyjaciele takiego fakira wykopują podziemne przejście do grobu, z którego wynoszą do tego przejścia trumnę, i fakir podczas rzekomego snu posila się tam należycie. W czasie oznaczonym na otwarcie grobu, fakir układa się znów w trumnie, przyjaciele umieszczają go w dawnem miejscu, zasypują przejście i zdumieni widzowie znajdują fakira w trumnie w takim stanie, w jakim został do niej złożony. Rama Chandra opowiadał ciekawe rzeczy o swoich dwóch kolegach. Gopal Krishna może spać tylko zapomocą hypnozy; po zahypnotyzowaniu leży bez ruchu 24 godziny; po upływie tego czasu musi wszakże otrzymać pożywienie, następnie, zahypnotyzowany ponownie, znów śpi 24 godziny. Powtarza się to codziennie, dopóki sen ma trwać. Pożywienie podaje fakirowi jego czuwający kolega, który go nigdy nie opuszcza, a w nocy zaufany służący, gdy dostęp do fakirów nawet komisyi kontrolującej był wzbroniony. Drugi fakir, Bheema Sena Propata, który został zdemaskowany, jest wprawdzie młodszy, ale ma silniejszą wolę i nie potrzebuje być hypnotyzowany, ale może leżeć tak nieruchomie w trumnie, jak gdyby spał. Oczywiście i on musi być co noc karmiony, — odbywało się to nocą między godziną 12 a 2; pod pozorem, że czuwający kolega musi go masować, niewolno było nikomu pozostać w pokoju, i wtedy „śpiący" fakir zajadał, palił papierosy, gimnastykował się. Nie biorą oni bynajmniej tragicznie swego zdemaskowania i produkują się obecnie w Orfeum peszteńskiem jako indyjscy tancerze i śpiewacy.

Nawiązując do powyżej opowiedzianego zdarzenia, zamieściła „Prawda" warszawska następujące uwagi:

„Swiat chce być oszukiwanym, więc go oszukują." Słuszność tego przysłowia stwierdza się u nas znowu bardzo wymownie. Pomimo że „śpiący fakir" (który miał uratować żywotność wystawy hygienicznej) został w Peszcie zdemaskowany, pomimo że go tam złapano, jak w nocy pił mleko i palił fajkę, jakiś tutejszy znawca „świata," który „chce być oszukiwanym," nie zrzekł się zamiaru sprowadzenia do Warszawy oszusta i pokazywania go naiwnej gawiedzi, naturalnie za opłatą. Ze stanowiska psychologii tłumów uparty ten przedsiębiorca ma zupełną racyę, bo dla łatwowierności niema dowodów przeciwnych, ona widzi tylko te, które jej dogadzają. Gdy Eusapię złapano na oszustwie, zdawało się, że jej cudowność została zabita raz na zawsze. Gdzie tam! Natychmiast wymyślono teoryę „bezwiednego pomagania objawom," czyli „zwracania rąk i nóg w kierunku tajemniczej siły" — i cudowność ocalała. A jeżeli dowodzono, że pewna część produkcyi Eusapii (mianowicie ta, w której dostrzeżono kuglarstwo), jest fałszywą, ale reszta (w której nie dostrzeżono) jest prawdziwym objawem nieznanej siły, to dlaczegóżby z równą słusznością ktoś nie mógł twierdzić, że wtedy, kiedy fakira złapano na piciu mleka, on nie spał, ale przez wszystkie dni, w których go nie złapano, spał jak umarły? A w dalszym ciągu według tejże logiki, czemużby jego senność nie miała przypaść akurat na czas pobytu w Warszawie? *Mundus vult decipi.*

Charakterystyka prasy polsko-amerykańskiej.

W „Kuryerze lwowskim" czytamy:

„Prasa polsko-amerykańska przejęła cechy i charakter nerwowej wrażliwości prasy amerykańskiej. Jak w dziennikach amerykańskich zupełna tam anarchia w układzie, jak w dziennikach amerykańskich mieszanie wiadomości najróżniejszej wartości, przyczem pomiędzy dwa poważne najzupełniej artykuły wciska się np. reklama dla jakiegoś „cudownego lekarza" zatytułowana niby sensacyjnie: „Ksiądz wyleczony," tak jak gdyby ksiądz był jakiemś osobliwszem stworzeniem, które wyleczyć trudno!... Owóż ujemną stronę charakterystyki tej prasy stanowi przedewszystkiem sposób prowadzenia polemiki, który delikatnie nazwiemy — maczugowym... Prym pod tym względem trzyma wspomniany powyżej „Polak w Ameryce" pp. Slisza i ks. Pitasa. Oto próbka:

„Donoszą nam z Freeland, że tamtejszy „niezależny" pryczer Cymbał rekte Pliszka dostał w pewnej szynkowni baty i to od Polaków, których chciał przeciągnąć na schyzmę, (tj. do niezależnego kościoła). Nie pochwalamy użycia takiego środka nawet wobec „niezależnych" pryczerów, chociaż dla takiego Cymbała jest to jedyny argument. Teraz stał się mniej żarliwym i zupełnie stracił ochotę nawracania Polaków na „niezależność."

Co prawda niewiele pod tym względem ustępuje „Polonia w Ameryce" pp. Dewoyny i Rutkowskiego, traktująca konkurencyjny organ, który ją przyłapał na drukarskiej pomyłce, w taki sposób:

„Dziennik Polski doszedł już do takiej perfekcyi, że potrafi dziś stanowczo twierdzić, iż nie pisze się „nieodżałowanej pamisci," lecz — „nieodżałowanej pamięci,". No, patrzcie tylko — co to za mądrale z tych redaktorów Dziennika Polskiego, skoro aż tak dalece sięga ich wiedza, że na niektórych zecerskich pomyłkach poznać się mogą! Maluczko — a w Dzienniku Polskim nie znajdziemy takich wyrażeń, jak „osławiony 4 lipiec" i chętnie przyznamy wtedy, że Dziennik Polski nie jest redagowany przez wielce zarozumiałe miernoty i żółtodziobów, — tylko przez ludzi osławionych."

Trudno w ostrzejszym tonie prowadzić polemikę o... błąd drukarski."

Na Wyłomie.

(Nasze kobiety a kodeks cywilny. — Poglądy prasy poznańskiej na kwestyę emancypacyi. — Czy Poznań jest Atenami).

Jedna z korespondentek poznańskich do pism galicyjskich wyraziła bolesne zdziwienie, że gdy nowy kodeks cywilny ubezwłasnowolnił kobietę, wyznaczając żonie i matce rolę kopciuszka w małżeństwie, — Polki zaboru pruskiego przyjęły zupełnie obojętnie wyrok parlamentu i żadna z nich nie przemówiła głosem krzywdy odczutej. Podczas gdy w całem państwie niemieckiem ozwał się protest zbiorowy, podczas gdy mianowicie kwiat inteligencyi kobiecej wołał o sprawiedliwość u bram izby prawodawczej i skarżył się głośno, że ani rząd ani posłowie wołania jego nie słyszą, — u nas kodeks cywilny ruchu nie zbudził wśród kobiet, i żadna z Wielkopolanek nie zapytała przedstawicieli naszych w parlamencie, dla czego wśród wrogów równouprawnienia oni w pierwszym stanęli szeregu. Korespondentka, która pierwsza fakt ten poniosła w dziennikarskie szranki zakordonowych czasopism, nie przypuszcza, aby kobiety nasze nie odczuwały w życiu krępujących je ograniczeń prawnych i zadowolone były zupełnie z położenia swego, lecz skarży się na ten brak „uświadomienia społecznego," który z poczucia krzywdy nie wydobywa głosu protestu i dążeń reformy, nie budzi energii czynu i nie pozwala kobietom naszym zrozumieć jasno „że zło, które je gnębi należy zatamować u źródła, że ono nie wypływa tylko z najbliższych dla nich widocznych przyczyn, lecz z upośledzonego stanowiska, jakie one jako kobiety w obec prawa zajmują."

Zdaniu temu słuszności odmówić nie można, — nasuwa się tu jednak pytanie, dla czego właśnie u kobiet zaboru pruskiego „uświadomienie społeczne" tak żółwim postępuje krokiem, dla czego właśnie w naszej dzielnicy mniej, niż w którejkolwiek innej, idea równouprawnienia kiełkować zaczyna, a uspołecznienie kobiety, jej udział w życiu publicznem, jéj zrozumienie położenia swego i cały ruch emancypacyjny zaledwie w mikroskopijnych zawiązkach się ujawnia. Gdy przed kilku laty ośmieliłem się strofować nasze panie i panienki za pewien zanik energii w pracach narodowych, to ozwała się za oknami redakcyi taka kocia muzyka różnych sopranów, altów i dyszkantów, że o mały włos byłyby pękły w uszach moich bębenki, a dziś gdy kodeks cywilny pieczętuje małoletność kobiety, ukróca prawo matek wobec dzieci i waruje władzy mężowskiej w małżeństwie wpływ dominujący i przywileje, spychające żonę w fatalną nieraz zawisłość, dziś w świecie kobiecym głuche zaległo milczenie, jakby uchwały parlamentu były czemś cudzem, dalekiem, nie wkraczającem w samą rdzeń bytu familijnego, — jakby ten nasz kawał ziemi był jakimś szczelnie zamkniętym patryarchalnym zakątkiem, gdzie ewolucya stosunków zakrzepła i starych form życia małżeńskiego nie podała w wątpliwość, gdzie wszystko starym trybem jest uszczęśliwione i nowych pragnień, nowych dążeń, nowych ruchów nie odczuwa wcale. Czyżby tak było w istocie? Czy tylko brak odwagi obywatelskiej, brak znajomości tych zasadniczych przyczyn, z których płyną fatalne kolizye, krzywdy i bóle kobiety w życiu małżeńskiem, staje na przeszkodzie wszelkiej zewnętrznej manifestacyi drzemiących życzeń reformy? Dokładna znajomość stosunków i ludzi wyklucza pierwszą ewentualność, a w analizie drugiej zwrócić się musi do tych czynników wychowawczych, które w życiu nowoczesnem pierwszorzędną odgrywają rolę, i wskazać na prasę, jako na źródło uśpienia społecznego wśród kobiet wielkopolskich. Kwestya emancypacyi kobiecej nigdzie tak słabym nie odzywa się echem jak właśnie w dziennikarstwie poznańskiem, a może najcharakterystyczniejszym objawem w tym względzie jest fakt, że gdy cała prasa niemiecka wiodła zacięte walki o paragrafy małżeńskie nowego kodeksu, nasze dzienniki polityczne poprzestały na wzmiankach pobieżnych i nie kusiły się nawet poinformować dokładniej publiczności o prawnem stanowisku kobiety, zatwierdzonem przez nową ustawę. Zresztą każdy samodzielniejszy ruch w świecie kobiecym budzi u naszych potęg prasowych tylko uśmiech ironii lub grom potępienia, i gdyby tak istotnie ta pobudka „Przeglądu" ocuciła drzemiące niewiasty, gdyby spowodowała jakiś ruch ożywiony, jakąś rezolucyę w duchu niemieckich oponentek kodeksu, to w mgnieniu oka posypałyby się z trybuny „Dziennika" patetyczne deklamacye o tradycyach patryarchalnych, o domowem ognisku, o nieprzystojnej dla „naszych aniołów" emancypacyi i t. d. (chyba, że nowy redaktor w ślady starego nie wstąpi.) A „Kuryer?" No! ten po swojemu zacząłby kąsać i pięś-

cią wygrażać i drwić co się zmieści, a w końcu krzyknąłby coś o masonach i zagroził ekskomuniką. Chór małych pisemek sekundowałby oczywiście frazesem lub żółcią, liryką lub satyrą, i wreszcie nasze biedne malkontentki wróciłyby przerażone do domów swoich i z poczuciem grzechu śmiertelnego w duszy przeklinałyby wszystkie hrabiny Butler, Minny Cauer, Liny Morgenstern i nas — „liberalnych suflerów.“ Ha! może to i lepiej. Obrońcy starego porządku zbudowali kobiecie w zaciszu domowem i w błyszczących salonach ołtarz wspaniały. Tam króluje, tam jest naszą „pieszczotą, kwiatem, gwiazdą“ i za te wszystkie przywileje zrzec się ma tylko drobnostki: Niech uzna małoletność swoją, niech w obliczu prawa zdecyduje się odgrywać podrzędną rolę jako matka i żona, niech w walce o chleb nie marzy o konkurencyi z mężczyzną. Wszak to tak mało, tak bardzo mało, a za to wszystko zwie się przecież „królową i aniołem.“ A że tam czasem w dramatach rodzinnych, w tragicznych powikłaniach małżeńskiego życia ona rozpaczliwie zawoła o ratunek, a trybunały wzruszą ramionami i nowy kodeks cywilny otworzą, — któż tam dbać będzie o takie komary, które zresztą u nas tak rzadko kąsają!

My przecież jesteśmy wyjątkowym krajem, Elizium szczęścia i zgody, ziemią jasnych duchów i wielkich serc, ba! nawet rodzajem Aten nowożytnych, jak „Kuryer Pozn.“ w piątkowym numerze Europie ogłosił. Ktokolwiek z blizka rozpatrywał stosunki nasze, ten zawsze kończył badania swoje skargą żałosną, że Muzy do nas nie przychodzą w gości, że literatura i sztuka śpią tu od lat wielu, dłużej i silniej zaiste, niż fakirzy indyjscy w węgierskiej stolicy. Nagle wchodzi „Kuryer“ na mównicę i woła: „Jeżeli ktokolwiek raz jeszcze odważy się pisnąć o „Beocyi poznańskiej, to dalibóg przeklnę. Jest to fałsz wierutny, tu Parnas, tu Pallas Athene, tu Phoebus srebrnołuki blaski swoje zlewa.“ Zakrawa to prawdziwie na farsę, lecz zaręczam czytelnikom moim, że Kuryer z całą powagą zabiera się do mydlenia ócz przed- i zakordonowej publiczności. Wszak prawda, świętobliwy kolego? Posiadamy teatr wspaniały, pierwszorzędne galerye obrazów i wystawy artystyczne! Miasto i prowincya roją się od poetów, muzyków, malarzy! Setki czasopism i towarzystw literackich uprawia kult piękna i szerzy zamiłowanie do sztuki! W księgarniach naszych roje Ateńczyków rozchwytują w mig każdą nowość naukową, każdy utwór poezyi, każdego Asnyka, Prusa, Orzeszkową! Tu tłum się korzy przed sztuką, tu ludzie umieją ocenić wielkość słowa: „Es soll der Dichter mit dem Konig gehen,“ i dla tego tak garną się do nas synowie muz, tak bardzo kraj ten kochają! Wszak prawda, panie kolego? Spuszczasz oczy, rumienisz się, bełkoczesz, — nie wstydź się, panie — mów, proszę, otwarcie!

Już się otrząsnął z przestrachu, spojrzał wyniośle i rzekł: „A czytelnictwo ludowe? Powiedz sceptyku, gdzie ono więcej rozwija się, niż u nas?“ Oto główny argument Kuryera. Legendę o rozkwicie literatury i sztuki w Poznaniu uzasadnia się wzrostem oświaty wśród ludu! No! subtelny w pojęciach swoich kolego, ciesz się, że Poznań nie jest Atenami, bo ręczę ci, że w mieście Fidiaszów, Periklesów, Platonów miejsca by nie było dla ciebie.

Sulla.



KRONIKA LITERACKA

— Gabryela Zapolska. W jednem z ostatnich numerów praskiej „Politik“ p. Ludwik Szczepański pomieścił felieton, zapoznający niemiecką publiczność z działalnością literacką naszej powieściopisarki p. Gabryeli Zapolskiej; skreśliwszy obustronną jej działalność zarówno sceniczną jak piśmienniczą, taką oceną jej talentu szkic swój rozpoczyna: .... jest to jeden z najśmielszych i największych talentów współczesnej literatury polskiej, jedna z najbardziej zajmujących postaci powszechnej nowoczesnej beletrystyki wogóle. Artystycznie wysoko zajmująca jako powieściopisarka, która nawskroś nowocześnie myśli i czuje: psychologicznie zajmująca jako jeden z typów nowoczesnej kobiety... patrzy ona i widzi wszystko, nic nie ukrywając... ale zawsze i wszędzie czuje i myśli nerwami, nerwami współczesnej, namiętnaj, śmiałej i dumnej kobiety... Gorące a zagmatwane erotyczne pragnienia, ekstatyczną migotliwość rozpłomienionych nerwów, dręczące powątpiewanie, wyczerpującą do znużenia męczarnię dusz nowoczesnych, przedewszystkiem zaś dusz kobiecych — umie zaprawdę z wielką malować potęgą...“ „Dzieła jej są po większej części jaskrawo pesymistyczne, dla tego, że w życiu tyle widzi brutalności i brzydoty... Lubuje się w obrazach, które wyprowadzają na jaw całą pospolitość trywialną i dziką brutalność człowieka i jego stosunków i niemiłosiernie je odsłania“. Krytyk zarzuca wszakże p. Z. brak spokoju. „Kocha i cierpi, walczy, nienawidzi i pogardza. Ma bystry a surowy pogląd psychologiczny. Najgłębsze, najskrytsze wrażenia duszy kobiecej umie z niezrównauą subtelnością odgadnąć i przedstawić. Ilekroć zaś przedstawia mężczyznę — a rzadko kobieta ośmieliła się tak przedstawić mężczyznę! — czuje się w tym obrazie coś w rodzaju nienawiści i wstrętu“. Krytyk daje następnie pokrótce streszczenie wszystkich niemal utworów naszej autorki, podnosząc przed innemi wartość artystyczną „Janki“. Cały felieton napisany jest ciepło, życzliwie, z dużą znajomością prac p. Zapolskiej — niezbyt może tylko szczęśliwie wybrane zostały obrazki z „Menażeryi ludzkiej“. — „Żabusia“ np. i „Koteczek“, te prawdziwe perły zbiorku, nie zostały wymienione...

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. W Warszawie wystawiono z powodzeniem najświeższy utwór Ruszkowskiego p. t. „Jadzia wdowa“. W sztuce tej wystąpił były artysta teatru poznańskiego p. Knapczyński i zjednał sobie uznanie krytyki. — Dawniejszy „pierwszy kochanek“ sceny naszej, p. Sosnowski debiutował w rządowym teatrze letnim w Warszawie. Znakomity krytyk, Władysław Bogusławski, wróży wielką przyszłość artyście temu. — P. Felicya Kaczowska objęła z dniem 1-go czerwca stanowisko prymadonny dramatycznej w operze lipskiej. — Herman Sudermann, znakomity niemiecki dramaturg, wytoczył był dyrekcyi wiedeńskiego „Deutsches Volks Theater“ proces z powodu obsady roli Ady podczas przedstawienia dramatu „Koniec Sodomy“. Chciał on, aby tę rolę grała ulubiona przezeń artystka, panna Adela Sandrock, dyrekcya jednak sprzeciwiła się temu i wybrała inną aktorkę. Wskutek tego — zdaniem Sudermanna — przedstawienie sztuki nie udało się tak, jakby to być mogło, gdyby rolę obsadzono po jego myśli. Proces ciągnął się przez czas dłuższy, lecz pomimo, że rzeczoznawcy przyznawali słuszność autorawi, Sudermann przegrał sprawę w dwóch instancyach. — Eleonora Duse została skazana przez sąd w Medyolanie na wypłatę 80,000 lirów impresaryom Chiachi i Mozeno za złamanie kontraktu. Słynna tragiczka zobowiązała się na tournée artystyczne po Stanach Zjedn. północnej Ameryki, lecz zasłaniając się chorobą, nie dotrzymała umowy. — Gerhard Hauptman napisał nowy dramat p. t. „Die versunkene Glocke“ na tle podania o mieście pomorskiem Wineta, które się z mieszkańcami zapadło w morze.

Rzeźba i malarstwo. W paryzkim salonie na polu marsowem ogólną uwagę zwraca rzeźba Falguiére'a, oddająca nagą postać kobiety. Rysy twarzy z wiernością nadzwyczajną oddają postać p. Kleo de Merode, wiotkiej baletnicy Opery, a zarazem słynnej piękności paryzkiej. Z okazyi owego świetnie oddanego studyum ciała niewieściego, dr. Maurycy Henry występuje z energicznym artykułem hygienicznym przeciw „gorsetowi“. Pisze on pomiędzy innemi: „Nie wchodzę ja w to, kto pozował do rzeźby Falguiére'a, zwracam tylko uwagę, iż budowa ciała tego jest całkowicie spaczona i zwyrodniała. Jest-to istny symbol kobiety spółczesnej, przerażająco wierny obraz deformacyi, wywołanej gorsetem. Nie sprzeczam się o to, jak się przedstawia podobne odstąpienie od naturalnego typu pod względem artystycznym. Zwracam jedynie uwagę na to, jakie spustoszenia fizyczne zdziałała barbarzyńska tortura kobieca, w pochodzie wieków przeinaczając normalny rozwój układu kostnego i mięśni, powodując niezliczone zboczenia i katusze fizyczne, będące bodaj przyczyną i wielu klęsk moralnych. Zestawmy dwa modele kobiety starożytnej i niewiasty schyłku stulecia, a teraźniejszość i przyszłość matek rodzaju ludzkiego wyda się wprost przerażającą groźba tragicznych następstw!“ Tak mówi hygiena, idąca ze zdrową sztuką w dobranej parze. Cóż na to moda? Milczy ironicznie, pewna bądź co bądź bezwzględnego zwycięztwa...

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Ciekawy. Wieści o rzekomej spółce p. Rygiera z jednym z literatów poznańskich są pozbawione nawet atomu prawdy a rozsiewane tendencyjnie przez ludzi, którzy mają w tem osobisty interes, by nowej dyrekcyi teatru zgotować szeregi niechętnych. Pan Rygier jest człowiekiem rozumnym i samodzielnym, to też tańczyć nie będzie według piszczałki osób, które dotychczas z bardzo smutnym sukcesem rządziły się jak szare gęsi w teatrze. „Inde irae“ i — plotki.

Jeden z abonentów. „Językoznawca“ ś. p. Julian Bukowiecki nigdy nie był, bo studyami lingwistycznemi się nie zajmował. Autor nekrologu w Wielkopolaninie chciał widocznie powiedzieć, że był dobrym stylistą i mówcą, a nie znając znaczenia wyrazów, jak to często dzieje się w Poznaniu, ni ztąd ni z owąd sfabrykował na poczekaniu nowego Grimma i Miklosicza. Mimo najszczerszej chęci zatem nie możemy Szanownemu Panu dzieł lingwistycznych ś. p. Juliana Bukowieckiego wymienić, — bo takich nigdy nie pisał. „Językoznawstwo“ było obce zmarłemu redaktorowi „Wielkopolanina.“

BIBLIOGRAFJA.

(Książki nadesłane Redakcyi).

Cezary Jellenta. Nurty. Ogniwa dramatyczne. Kraków 1896.

Dr. F. Twardowski. Przed forum polskiego społeczeństwa. Stosunki polskie na Szląsku. Kraków 1896.

W. M. Kozłowski. Manfred, hr. Henryk i Płoszowski. Warszawa 1896.

K. Skrzycki. Młodzież polska w zaborze rosyjskim. Lwów 1896 Nakł. Przeglądu Wszechpolskiego.

K. Miarka. 1) Wielkopolska i Wielkopolanie pod względem rozmiaru, podziału, zarządów i płodów, zwyczaje i obyczaje, zabawy, obrzędy, przesądy i t. d. ludu wielkopolskiego. Mikołów 1896 r. 2) Historya biblijna dla rodzin chrześciańskich. Zeszyt 5 i 6. Mikołów 1896 3) Soteris. Opowiadanie historyczne z czasów panowania cesarza Maksymina. Mikołów 1896.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28